Nr. 25. Poznań, dnia 24 Czerwca 1906 r. Rok X.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,25 z odnoszeniem do domu . . 1,37 pod opaską . . 2,50

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 20 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Dwa jubileusze.

„Praca" i „Towarzystwo Czytelni Ludowych" w Poznaniu spoglądają w obecnym roku na dłuższą wśród ludu polskiego, obfitą w owoce działalność.

„Praca" święci jubileusz 10-letni — Towarzystwo „Czytelni Ludowych" 25-letni.

Zazwyczaj jubileusze takie dają powód do wspaniałych uroczystości i bankietów. Lecz nie dziś czas na uczty i obchody kosztowne. Nie przystoi nam dziś marnować ciężko zapracowanych groszy dla osobistych upodobań i przyjemności. Grosz ten bowiem przyda się na lepsze, wyższe, wspanialsze — na cele narodowe i może sprawie naszej prawdziwy przynieść pożytek.

To też „Tow. Czytelni Ludowych" nie urządziło żadnego obchodu. W miejsce tego uczestnicy walnego zebrania, które odbyło się w lutym b. r., urządzili składkę na cele „Tow. Czyt. Ludowych", składkę na zakupno pożytecznych książek, składkę — na oświatę ludu.

Zaiste — godnie uczciło „Tow. Czytelni Ludowych" dwudziesty piąty rok swego istnienia! Czyż nie godzi nam się tego tak wzniosłego przykładu naśladować?

Zapewne!

To też wydawnictwo „Pracy" postanowiło pójść w ślady „Tow. Czytelni Ludowych" i upamiętnić

dziesiąty rok istnienia „Pracy"

datkiem na cele oświaty ludu.

Na cel ten przeznaczamy

5 procent

całej kwartalnej pocztowej prenumeraty, jaka w dniu 1-go lipca br. wpłynie za „Pracę" na przyszły kwartał.

Fundusz, jaki ztąd powstanie, postanowiliśmy nazwać

„Funduszem Czytelników „Pracy"

i wpłacić go w dniu 15-go lipca b. r. do kasy

„Towarzystwa Czytelni Ludowych" w Poznaniu.

Dzień 15-go lipca wybraliśmy dla tego, ponieważ w dniu tym w r. 1410 pradziadowie nasi odnieśl wspaniałe zwycięztwo nad Krzyżakami.

W ten sposób uczcimy trzy pamiątki — pełną chwały przeszłość narodu naszego i jego walki z odwiecznymi wrogami — obfitą w owoce pracę „Tow. Czytelni Ludowych" — i skromny nasz dziesięcioletni jubileusz.

I cóż, kochani Czytelnicy, czy zbraknie wpośród Was chociażby jednego, któryby groszem swoim nie chciał się przyczynić do tak pięknego celu? Zaiste, spodziewamy się, że po 10 latach trudu, pracy, mozołów, kar sądowych i więzień, jakimi za wspólną sprawę i dolę naszą poszczycić się możemy — Czytelnicy nasi jak najgorliwiej przyczynią się do funduszu na rzecz Czytelni Ludowych i że podążą jak najwcześniej z opłatą za „Pracę" na pocztę.

Ale nie dość tego. Pragniecie zapewne, Szanowni Czytelnicy — wraz z nami, ażeby fundusz ten był jak najpokaźniejszy. I słusznie. Nie ma za wielkich ofiar na cele oświaty narodowej. Ktoby więc nadzwyczajnie chciał sprawie tej się przysłużyć, niech postara się o jednego i drugiego abonenta dla „Pracy", a powiększy w ten sposób fundusz jubileuszowy. Trudno to nie będzie, gdy chodzi o cel tak wzniosły. Toż dziś rzadko spotyka się Polaka, któryby albo „Pracy" nie znał, albo nie był korzystał z „Czytelni Ludowych".

Więc do dzieła, Bracia! Okażcie, że wśród ucisku obcego dojrzeliście nie tylko do osądzenia zawiłych spraw politycznych, ale i do ofiar na cele narodowe — co razem biorąc stanowi najlepsze świadectwo uświadomienia narodowego.

Wydawnictwo i Redakcya „Pracy".

Tabliczka kar pieniężnych i więziennych

nałożonych na wydawców, redaktorów, współpracowników i drukarzy „Pracy“ w pierwszem dziesięcioleciu.

Nr.	Imię i nazwisko.	Za co?	kara pieniężna mk.	kara więzienna mies.
	Rok 1897.			
1	Marcin Biedermann	Wydanie numeru „Pracy“ bez podpisu odpowiedzialnego redaktora	100	
2	Bolesław Rakowski (ojciec)	podburzanie do gwałtów	50	
3	Wincenty Andrzejewski	podburzanie do gwałtów	100	
4	Bolesław Rakowski (syn)	podburzanie do gwałtów jako autor	150	
5	Witołd Patrzykowski	podburzanie do gwałtów jako odpow. redaktor	100	
	Rok 1898.			
6	Bolesław Rakowski (syn)	podburzanie do gwałtów i obraza Niemców		4
7	Marcin Biedermann	przekroczenie prawa drukarskiego	30	
8	Bolesław Rakowski (syn)		15	
9	† Antoni Lipiński	zohydzanie urządzeń państwowych		4
10	Jan Szymański	podburzanie do gwałtów	300	
11	† Antoni Lipiński	podburzanie do gwałtów		6
	Rok 1899.			
12	Bolesław Rakowski (ojciec)	obraza komisyi kolonizacyjnej	30	
13	Marcin Biedermann	przekroczenie prawa drukarskiego	200	
14	Piotr Krzyżankiewicz		50	
15	Stanisław Tomaszewski		50	
16	Stanisław Chilomer	podburzanie do gwałtów	400	
17	Stanisław Chilomer		400	
18	Stanisław Chilomer		400	
	Aresztowanie Stanisława Chilomera.			
19	† Antoni Lipiński	podburzanie do gwałtów		3
	Rok 1900.			
20	Władysław Siemiątkowski	zohydzanie urządzeń państwowych		2
21	Władysław Siemiątkowski	obraza	100	
22	Władysław Siemiątkowski	podburzanie do gwałtów		6
	Aresztowanie Władysława Siemiątkowskiego.			
	Rok 1901.			
23	Władysław Siemiątkowski	zohydzanie urządzeń państwowych		6
24	Władysław Siemiątkowski	podburzanie do gwałtów		6
	Aresztowanie Alfonsa Kaniewskiego.			
25	Alfons Kaniewski	podburzanie do gwałtów		10
26	Alfons Kaniewski	obraza ministra Podbielskiego		2
	Aresztowanie Teofila Bestyńskiego.			
27	Teofil Bestyński	podburzanie do gwałtów i zohydzanie urządzeń państwowych		9
	Aresztowanie dra Kazimierza Rakowskiego w Wrocławiu.			
28	Dr. Kazimierz Rakowski	podburzanie do gwałtów, zohydzanie urządzeń państwowych i obraza ministra Podbielskiego jako autor		$25\frac{1}{2}$
29	Marcin Biedermann	przestępstwo prasowe		$1\frac{1}{2}$
	Rok 1902.			
	Aresztowanie posła Wojciecha Korfantego.			
30	Wojciech Korfanty	podburzanie do gwałtów jako autor		4
31	Jan Kamiński	podburzanie do gwałtów		2
32	Jan Kamiński	zohydzanie urządzeń państwowych i podburzanie do gwałtów		6
33	Józef Niemirowicz	obraza wójta		3
	Aresztowanie Jana Kwiatkowskiego.			
34	Jan Kwiatkowski	podburzanie do gwałtów		15
	Rok 1903.			
	Aresztowanie Marcina Biedermanna i wypuszczenie po kilku dniach na wolność za złożeniem 50.000 mk. kaucyi.			
	Rok 1904.			
35	Józef Lisowski	podburzanie do gwałtów i obraza Niemców	200	
36	Józef Lisowski	obraza sprzedawczyka	150	
37	Maciej Wierzbiński	podburzanie do gwałtów i obraza Niemców jako autor	300	
38	Dr. Kazimierz Rakowski	rzekome przysyłanie artykułów do „Pracy“ z więzienia we Wronkach.		9
39	Marcin Biedermann	rzekoma pomoc w sprawie powyższej		$1\frac{1}{2}$
	Rok 1905.			
40	Bolesław Rakowski (ojciec)	obraza pruskich oficerów	300	
	Aresztowanie Macieja Wierzbińskiego.			
41	Maciej Wierzbiński	podburzanie do gwałtów jako autor		18
42	Bolesław Rakowski (ojciec)	podburzanie do gwałtów jako odpowiedzialny redaktor	400	
43	Bolesław Rakowski (ojciec)	rzekomy bojkot przemysłu i handlu żydowsko-niemieckiego	50	
			3875	$143\frac{1}{2}$

Wara

od

naszych obrzędów religijnych.

Wprost zastraszających rozmiarów nabierają wieści obiegające prasę naszą o natarczywości policyi na odwieczne procesye Bożego Ciała.

W *Mogilnie* policyant nakazuje sokołowi zwinąć i usunąć z pochodu swój sztandar. Nie pomaga tłómaczenie, że sztandar ten oddano przed laty ks. prał. Wawrzyniakowi do kościoła, że jest stale umieszczony w kościele i jest chorągwią dziś kościelną.

Żadne tłómaczenie, żadne perswazye nie pomagają. Sztandar został usunięty.

Lud katolicko-polski zowie to postępowanie policyi — zgorszeniem. My je nazwiemy przykrą przeszkodą — w obrzędzie kościelnym.

Inaczej postępuje sobie policya w *Szamotułach.* Nie przeszkadza w procesyi, nie powoduje szemrania ludu, ale nakłada za to na chorążego „Sokoła“ — 30 marek kary za niesienie sztandaru podczas procesyi.

Inaczej w Mogilnie — inaczej w Szamotułach. Widocznie policya sama nie wie, do czego ma prawo, a do czego nie ma prawa.

My stanowczo na podstawie prawa krajowego twierdzimy, że policya nie miała prawa usuwać sztandaru mogileńskiego „Sokoła“ z procesyi dla tego tylko, że kiedyś on był własnością „Sokoła.“

Dziś sztandar ten jest własnością kościoła — jest *kościelnym,* policya nie ma prawa g usunąć.

Czy sztandar szamotulskiego „Sokoła“ jest zarazem chorągwią kościelną, nie wiemy — ale też niema wyroków zakazujących towarzystwom nie-kościelnym brać udziału w procesyi — ze sztandarami. Chorąży szamotulski powinien się odwołać do sądu.

Tak było w Mogilnie i w Szamotułach — gorzej jeszcze na G. Śląsku w *Zaborzu.*

Donosi „Głos Śląski“, że w Zaborzu komisarz policyjny *Mader* podczas procesyi rozkazał Tow. katolickiej Młodzieży polskiej — *rozejść się!*

To już nie usunięcie chorągwi, nie kara za niesienie jej podczas procesyi, to już naruszenie obrzędu religijnego — wyraźnie dozwolonego prawem, które brzmi:

„Zgłoszenia ani pozwolenia policyjnego nie potrzeba na:
1. zwyczajne pogrzeby,
2. korowody weselne, gdziekolwiek są w zwyczaju,

3. Kościelne procesye i pielgrzymki gdziekolwiek odbywają się one w sposób oddawna przyjęty.“

Komisarz Mader powoływał się na to, że Tow. Mł. kat. nie ma pozwolenia od ks. proboszcza. Towarzystwo to jednak brało udział w tej myśli, że pozwolenie takie ma, skoro było na plebanii, a nie zastawszy ks. proboszcza, otrzymało od kościelnego przyrzeczenie, że wyznaczy mu miejsce w pochodzie. To się też stało.

Mimo tego policyant rozpędził Tow. — skutkiem czego uczestnicy procesyi ogromnie się oburzyli. Jeżeli nie stało się nic złego, to — pisze „Gł. Śląski“ — dzięki tylko temu, że młodzież postąpiła sobie taktownie i — ustąpiła.

Tow. Mł. kat. udało się natychmiast po procesyi do ks. proboszcza, prosząc go o wytłomaczenie, czy istotnie *zakazał* Tow. brać udział w procesyi.

Ks. proboszcz tłómaczył się, że kościelny o prośbie Tow. mu nic nie powiedział, dodał jednakże,

„że gdyby chciał Towarzystwu zakazać pochodu, byłby to uczynił *przed procesyą*, dając znać o tem zarządowi, ale nigdy *podczas* procesyi“.

Z tego tłómaczenia ks. proboszcza wynika, że komisarz Mader, nakazując Tow. Mł. kat. w Zaborzu rozejść się — *kłamał*, jeżeli powoływał się na to, że ks. proboszcz zakazał Towarzystwu udziału w procesyi.

Towarzystwo niewątpliwie na p. Madera poskarży się, gdzie należy — i wtenczas też wykaże się faktyczny stan rzeczy. O fakcie więc samym będziemy mogli wydać sąd ostateczny po urzędowem śledztwie.

Tak jak „Głos Śląski“ sprawę przedstawia wystąpienie komisarza Madera inaczej nazwać nie można — jak samowolnem targnięciem się na uświęcony wiekami zwyczaj religijny i kościelny.

To też należy przeciwko takiej samowoli podnieść energiczny protest. Cóż bowiem będzie, do czego ostatecznie dojdziemy, jeżeli samowola policyi bezkarnie naruszać zacznie i nasze obrzędy *religijne?* Czy może policya — za przykładem huliganów w Rosyi — wywołać pragnie zaburzenia wśród ludności polskiej w Prusiech?

Mamy przekonanie, że rozwaga i rozum polityczny ludności polskiej do tego nie dopuści—ale z drugiej strony powtarzamy: *wara policyi od naszych obrzędów kościelnych!*

Korespondencya z Galicyi

(Własna korespondencya „Pracy“.)

Lwów, 17 czerwca.

(O naszych szkołach średnich. Działalność tow. naucz. szkół wyższych. Jak nasze szkoły wychowują. Obudzenie się chęci zmiany. Skutki tego. Poprawić trzeba szkołę obecną — ale i wytworzyć szkołę narodową).

W poprzednim liście wspomniałem o zjeździe towarzystwa nauczycieli szkół wyższych, który się odbył w czasie Zielonych Świąt w Krakowie. Jest to towarzystwo, do którego należą nauczyciele gimnazyów i szkół realnych, profesorowie uniwersytetu i wszyscy ci, którym dobro i rozwój narodowej szkoły leży na sercu. Towarzystwo ma oddziały czyli koła po prowincyi wszędzie tam, gdzie są szkoły średnie. Koła odbywają posiedzenia, na których do niedawnego czasu omawiano sprawy zawodowe, t. zn.: sprawy odnoszące się do polepszenia bytu nauczycieli lub też różne zagadnienia ściśle naukowe. Z wszystkich kół, których jest kilkanaśnie zaledwie kilka dawało jakieś znaki życia, a na walnych zjazdach, na których bywali przedstawiciele tych kół, tak samo nie przekraczano nam tej działalności.

Od czasu jednak jak się wzmógł duch narodowy w całem społeczeństwie, jak to społeczeństwo coraz częściej zaczęło rozprawiać publicznie o potrzebach narodowych, a w szczególności o potrzebie zmiany wychowania młodego pokolenia i towarzystwo to przekształciło się wewnętrznie znacznie.

Szkoły nasze wzorowane są przeważnie na szkołach waszych, a jak one nam pomagają do wychowania dzieci naszych po polsku, to wy wiecie to może lepiej od nas. To też wychowały one nam całe dwa pokolenia ludzi niesamodzielnych, bojących się szukać sobie zarobku i chleba w innym zawodzie aniżeli urzędniczym. Istotnie też przeważna część młodzieży, kończącej u nas zakłady naukowe idzie w służbę rządową.

Ludzie ci nie zatracają poczucia polskości, owszem znaczny ich procent pracuje mimo dokuczań ze strony przełożonych w różnych towarzystwach starających się o podniesienie polskości. Jednak poczucie to przytępiło się znacznie, a najważniejsza rzecz, że główna nasza dotychczasowa siła narodowa, inteligentna sfera, była żywiołem zależnym od rządu.

To dało powód do dążenia do zmiany sposobu nauczania. Zaczęto się domagać sprowadzenia do szkół nauki dającej możność życia praktycznego, dającej możność poświęcania się zawodom wolnym jak przemysł, kupiectwo, handel i t. p. Tej zmianie stoi dotychczas na przeszkodzie wielka ilość godzin szkolnych poświęconych nauce klasycznych języków, łacinie i grece. W gimnazyach zabierają te dwa przedmioty młodszym uczniom tygodniowo godzin 14, starszym 11 do 12. A więc wyrzucić te przedmioty jako zbyteczne! — oto hasło, które rozbrzmiewało przez lat kilka na licznych zebraniach i wiecach zwoływanych przez rodziców. Nauczycielstwo rozdwoiło się. Jedni stanęli po stronie rodziców i obciążonych niepotrzebnie uczniów, inni, co prawda nieliczni, bronili zawzięcie i z zapałem łaciny i greki. Nie zniesiono wprawdzie ani łaciny ani greki, bronił jej bowiem i broni rząd, bo mu wychowuje dobrych urzędników, miał ten ruch jednak bardzo dodatni a dwojaki skutek.

Oto zmieniono dotychczasowy, ogłupiający sposób nauczania tych języków na inny, który, nie męcząc zbytnio uczniów gramatyką, daje im poznać to, co dobrego i szlachetnego było u starożytnych Rzymian i Greków. A drugie: nauczyciele sami przyszli do przekonania, że szkoła nasza zła, że ją trzeba poprawić. A jak poprawić? o tem powinni w części decydować i obywatele sami, bo ich potomstwo się ma wychować, a oni chcą, aby się wychowało na dzielnych obywateli polskich. Rozstrzygać powinni jednak i nauczyciele, bo oni złe znają najlepiej.

Zaczynają też koła nauczycielskie robotę w tym kierunku. Najpierw omawia się tę sprawę w gronach nauczycielskich. Potem zaczęto zwoływać szereg wieców rodzicielskich, na których obywatele mieli powiedzieć sami, co myślą o tem i jakiej poprawy tych szkół chcą. Nie zdołałbym wyliczyć tych wszystkich rozpraw i tych wszystkich wniosków, jakie uchwalono w tej sprawie. To pewna, że towarzystwo nauczycieli szkół wyższych nie zostało obojętne dla całej tej sprawy i liczyło się z tak objawioną opinią publiczną.

Dowód znajdujemy na to właśnie w tegorocznym zjeździe. Wystąpiono na nim z dwoma referatami, z których jeden wygłosił profesor gimnazyalny lwowski, drugi krakowski.

Lwowski referent mówił o przepełnieniu szkół. Jakie tu u nas stosunki panują pouczą was liczby, pouczą one was o czemś więcej. Oto przekonacie się z nich, jak my tu mimo konstytucyi jesteśmy pokrzywdzeni ciągle i stale przez mniejszość niemiecką, boć

przecie w Austryi Niemców mniej jak wszystkich Słowian razem. Oto na jedno gimnazyum w Austryi niższej przypada uczniów 407, w Austryi wyższej 310, w Solnogrodzie 352, w Tyrolu 316, w Czechach niemieckich 216, w Czechach czeskich i na Morawie 306. A w Galicyi zapytacie? Na siedem i pół mil. ludności jest 34 szkół średnich. Przeciętna liczba uczniów na jeden zakład wypada 700, a są gimnazya, które mają do 1200 uczniów. W klasach takich szkół jest po 50 i wyżej uczniów. Gdzież tam można mówić o nauce, o wychowaniu. Ale winno temu wszystkiemu samo społeczeństwo, bo nie podnosi poważnego a stanowczego głosu o swych krzywdach, nie stawia z całą siłą słusznych swych żądań. To też trafnie powiedział referent, że społeczeństwo ma takie szkoły, na jakie zasłużyło. Jeżeli rząd krzywdzi społeczeństwo, to niech ono umie się upomnieć o swe krzywdy. Myśmy powinni mieć 90 szkół średnich a mamy ich niecałe 40. Ale nietylko na małej ilości szkół krzywda ta polega. Rząd daje nam i dla tych szkół, co są, mało sił nauczycielskich, a łatać potrzeba różnymi pomocnikami, których się bierze zkąd się zdarzy. To też uczą u nas w znacznej liczbie młodzi ludzie zupełnie do tego nie przysposobieni, którzy w niejednym wypadku więcej szkody przynieśli młodemu pokoleniu jak korzyści. Sprawę tę przedstawił referent z dowcipem i gryzącą ironią a zakończył ją szeregiem wniosków, które dadzą się streścić w tem, że należy wpłynąć na całe społeczeństwo, aby ono domagało się energicznie u swoich posłów wywalczenia u rządu lepszych warunków dla naszego szkolnictwa.

O ile ten referent mówił o polepszeniu warunków dla istniejącej obecnie szkoły, o tyle referent krakowski, przygotowany przez całe Koło krakowskie, o konieczności reformy szkoły średniej, dotknął podstaw naszej szkoły narodowej, którą trzeba stworzyć. Dla nas nie może być wzorem szkoła pruska, my musimy oprzeć nasz wzór na tem, co nam komisya edukacyjna wiekopomnego Sejmu Czteroletniego w Warszawie przekazała, bo ona jedna znała nasze narodowe potrzeby gruntownie. Nie potrzeba nam szukać niczego nowego, bo jest już gotowe. Przystosować to trzeba do nowych warunków życia i będziemy mieli wzorową szkołę narodową, polską. Organizacyę urządzenia takiej szkoły, sposób uczenia i wykonywania można oprzeć na takich wzorowych szkołach angielskich. W tym celu należałoby utworzyć taką szkołę na próbę. I znowu uchwalono po stwierdzeniu, że dotychczasowa szkoła jest złą, szereg wniosków. Czy pójdą za temi rozprawami i uchwałami jakie czyny, — przyszłość pokaże. Jest jednak nadzieja, że sprawa ta nie pójdzie w zapomnienie i społeczeństwo dążyć będzie coraz silniej do poprawy swej szkoły.

Ponieważ szkoły ludowe utrzymuje kraj, wydawałoby się, że one nie pozostawiają już nic do życzenia. Tak jednak nie jest a właściwy stan przedstawię przy sposobności sprawozdania o działalności Towarzystwa szkoły ludowej, które zjazd swój odprawi z końcem czerwca. Dzielę się z Wami temi uwagami dlatego, aby Wam dać powód i materyał do porównania.

O kwestyach politycznych nadmienić mogę już tylko kilkoma słowy. Otóż donieść Wam mogę, że reforma wyborcza przed jesienią nie będzie uchwaloną, mimo iż tak socyaliści jak Rusini głośno okrzykują nawet wybuch rewolucyi, i że Kołu polskiemu udało się zapewnić tam tyle mandatów, ile by się nam należało według dotychczasowego stanu posiadania. Mamy zatem zapewnionych do 77 mandatów poselskich. *Bes.*

Z zaboru rosyjskiego.

(Własna korespondencya „Pracy".)

Warszawa, 20 czerwca 1906.

Każdy, kto zna nieznośne warunki politycznego życia w zaborze rosyjskim, z uczuciem największego zadowolenia przyjmie wiadomość o zatwierdzeniu statutów Macierzy szkólnej i Sokoła przez władze tutejsze.

Macierz polska zawiązała się u nas bezpośrednio po spolszczeniu zakładów naukowych prywatnych. Istniała dotąd pół jawnie i wszelkie kroki, jakie stawiała na polu oświaty, były bardzo nieśmiałe. Obecnie ustawa Macierzy została w całości zatwierdzoną i Macierz w ten sposób zupełnie śmiało, jawnie, bez żadnych przeszkód i szykan ma prawo przystąpić do wielkiej, świętej pracy na polu oświaty ludowej. Tak samo i Sokół.

Zbrodniczy system rządowy, od lat 40 stosowany w zaborze rosyjskim, dążył bezwzględnie do zupełnego sproszkowania społeczeństwa naszego, do rozbicia go na najdrobniejsze cząstki, ni związku, ni łączności ze sobą nie posiadające. Wszelkie objawy samopomocy społecznej były ścigane najsurowiej. Nawet ofiary na rzecz powodzian społeczeństwo nasze zmuszone było składać na ręce urzędników rosyjskich. Każda

---

Obrazki marginesowe.

Nasza duma narodowa.

Jedno z pism poznańskich wyrażało niedawno wielką radość z powodu niebywałej popularności Sienkiewicza u Niemców. Tłumaczenia jego utworów sprzedają w olbrzymiej ilości berlińskie domy towarowe! Nie wymieniam pisma, bo nie chodzi mi w tym wypadku o polemikę. Dziennik ów wyraził przecież tylko to, co ogromny odłam społeczeństwa rzeczywiście czuje. Był to tylko wspaniały okaz naszej „dumy" narodowej. Uważamy to za zaszczyt, że „nasz" Sienkiewicz tłucze się po berlińskich domach towarowych obok rdzennie niemieckich „Struwelpetrów."

Jeżeli pójdziemy w tym kierunku dalej, będziemy się cieszyli, jeżeli znajdziemy „Krzyżaków" sprzedawanych na dworcach niemieckich jako „lekturę podróżną," na ulicach jako świstki zbyteczne, targowane w sąsiedztwie najobrzydliwszych piśmideł niemieckich za cenę „wszystko po trojoku."

A co, pięknie, prawda? A „my Polacy" z dumą na czole wyniosłem przechodzimy przed budą — i gotowiśmy się na szyję rzucić pierwszemu lepszemu „Knoppowi" albo „pani Knopp" za to, że — kupuje Sienkiewicza.

Znowu co innego, lecz w tym samym sosie. Członek Koła Polskiego wyraził się w austryackim parlamencie nieprzychylnie o polityce włoskiej w Albanii — było to niefortunne, Włosi gotowi się zdziwić, a Włosi dotąd tyle nam okazywali sympatyi, oj, oj! Aż wytrzymać nie można!

Sam papież przecież powiedział ongi: Polacy, to naród najbiedniejszy i najnieszczęśliwszy!

Niemiecki filozof Nietsche wprawdzie drwił sobie z Polaków, mimo to tylu a tylu łamie sobie swoje półgłówki nad wykryciem polskiego pochodzenia Nietschego.

— „No, on właściwie Polak jest, można go zaliczać do polskich filozofów, noo!

Jakiś muzyk czy pianistka z Polski dostąpiła zaszczytu osobistego pocałowania w piętę Menelika abesyńskiego — chwała narodowi polskiemu!

I tak dalej i dalej!

„Bartek zwycięzca" gadał ze Steinmetzem, w Ostendzie hrabia polski został pierwszym kelnerem w pierwszo-

akcya nawet cienia polityki pozbawiona w kraju naszym była w najrozmaitszy sposób utrudnianą. Dziś uprawnienie dwóch doniosłego znaczenia instytucyi narodowych, Macierzy i Sokoła, pozwala sądzić, że rząd rosyjski poczyna robić ustępstwa społeczeństwu polskiemu.

Ten system rosyjski najbardziej dotkliwie odczuć się dawał na polu oświaty ludowej.

Krwawiły się serca patryotów naszych na widok wielkich mas ludu, pogrążonego w zupełnej ciemnocie. Zaciskały się pięści w bezsilnym gniewie, spowodowanym zupełną niemal bezsilnością wobec tego nieszczęścia narodowego. Zazdrosna o wpływy swoje biurokracya rosyjska strzegła starannie chłopa i robotnika polskiego od wpływów inteligencyi. Barbarzyński, nigdzie na świecie (prócz naturalnie Prus) nieznany zakaz nauczania prywatnego, połączony z surowemi karami, związał ręce narodu, uniemożliwił szeroko dawniej praktykowaną oświatową pracę po dworach obywatelskich. Szereg szkółek prywatnych tajnych przez demokracyą narodową po miastach Królestwa, w nieznacznym stopniu zapobiegał pojawiającemu się wszędzie zdziczeniu proletaryatu miejskiego. Dzisiejszy bandytyzm, nożownictwo i t. d. to wszystko skutki owej okrutnej polityki rządowej, zamykającej nam dostęp do nauki i światła. Szkoły zaś rządowe, pominąwszy ich charakter rusyfikacyjny, w stosunku do liczby mieszkańców istnieją w ilości tak nieznacznej, że według ostatnich obliczeń należałoby w Królestwie założyć 20 tysięcy szkół nowych, by zadowolnić potrzeby ludności.

Najsmutniej, najokropniej przedstawia się u nas stan oświaty wśród ludu wiejskiego. Tu statystyka dostarcza szczegółów wręcz nieprawdopodobnych. Jedna gubernia Kielecka na 790 tysięcy mieszkańców liczy 520 tysięcy nie umiejących czytać i pisać. W całym zaś kraju rzadkością jest umiejący czytać drobny włościanin lub ordynaryusz dworski. Analfabeci trafiają się często i wśród włościan 30 i więcej morgowych. Szkoły ludowe, świeżo dopiero spolszczone, nie odpowiadają najskromniejszym wymaganiom. Jedna, najwyżej dwie szkółki na gminę, obejmującą po 40 z górą wsi, nie są w stanie rozproszyć mroków ciemnoty.

Stosunki takie wielkim głosem wołają o naprawę, dopominają się współdziałania ze strony społeczeństwa uświadomionego. Praca na leżącem dotąd odłogiem polu będzie ogromna. — Świetne jednak tradycye Komisyi Edukacyjnej Księstwa warszawskiego nie zamarły w narodzie. Zubożały, zrujnowany przez strejki sypnął pomimo to groszem ofiarnym na polskie szkoły prywatne, na jakie w roku ubiegłym rząd nam zezwolił. Po miastach powiatowych i gubernialnych powstała poważna ilość szkół udziałowych polskich, niższych i średnich, zaczęto na próbę otwierać szkoły najniższe i kursa dla analfabetów dorosłych. Kursa te spotkały się atoli z przeciwdziałaniem rządu. Pozostawione samo sobie społeczeństwo polskie zakrzątnęło się żywo na polu oświaty narodowej, pomimo szykan administracyi krajowej i jej zakusów uszczuplenia przyznanych nam praw przez komitet ministrów. Lecz brak ogólnej, kierowniczej instytucyi, która by mogła objąć ster całego wychowania narodowego naszego, dawał się odczuwać poważnie.

Powstała Macierz Szkolna. Grono wybitnych działaczy i posłów dało swą firmę nowej instytucyi. Ks. poseł Grabowski, mec. Ossuchowski, pos. Chrystowski i inni podjęli u władz starania w kierunku tym. Prasa z tryumfem obwieszcza pozyskanie przez nas instytucyi, która w Galicyi i w Czechach oddała nieocenione usługi. Zaiste należało by zwątpić o narodzie polskim, gdyby Macierzy szkolnej nie otoczył opieką najczulszą jako swe dziecko najukochańsze.

Zakres działania Macierzy jest nader rozległy. Wolno jej zakładać i utrzymywać ochronki, szkoły ludowe, kursa dla analfabetów dorosłych, seminarya nauczycielskie, czytelnie i biblioteki ludowe, domy ludowe, wreszcie szkoły średnie i wyższe wszelkiego typu. Ma prawo Macierz urządzać odczyty i wykłady, wydawać i rozpowszechniać podręczniki i czasopisma, udzielać wszelkich zapomóg kształcącej się młodzieży, ogłaszać konkursa. Słowem, to wszystko, o czem w dziedzinie oświaty i nauki marzyliśmy od lat tylu, a co w czyn zamienić wzbraniał nam system wrogi, znalazło ostoję i ognisko jawne w „Macierzy polskiej.“

Organizacya Macierzy polega na całym szeregu samodzielnych kół prowincyonalnych z głównym zarządem w Warszawie.

A Sokół? Czy o potrzebie i doniosłości tej instytucyi wypada mówić do Was, bracia z pruskiego zaboru, którzy swojego Sokoła troskliwą otaczacie opieką i rozwijacie stale pomimo bezustannych szykan rządu hakatystycznego? Nasz Sokół organizacyę swoją opiera na wzorach poznańskich i galicyjskich, posiada główną siedzibę w Warszawie i ma przewodniczącym dr. Klemensa Starzyńskiego.

Znając zapał, jaki ogarnął społeczeństwo nasze od chwili świtu wolno-

---

rzędnym hotelu, w Paryżu dryndziarz polski nauczył psa szczekać po francusku, w Nowym Jorku szewc polski wyciągnął z wody tonącą świnię, pochodzącą z chlewów prezydenta Stanów Zjednoczonych. Sam prezydent podziękował mu osobiście, dał mu papierosa i nazwał go dżentelmenem! Tak!

Byłby rzeczywiście czas, żebyśmy przestali bawić się, a zastanowili się nad tem, jaką my czasem śmieszną rolę gramy wobec innych!

Więc Sienkiewicz stał się większym z chwilą, kiedy go zaczęły czytać służące berlińskie w miejsce „skandalików wielkomiejskich“, więc my staliśmy się szczęśliwsi z chwilą, kiedy „Herr Knopp“ w rozczuleniu zawołał:

— Na ja, die Pollacken sind ja ejentlich jute Kerle! Na, prost!

A gdzież tu nasza duma narodowa, gdzież wiara w naszą rzeczywistą wartość!

Tylokrotne oglądanie się na obcych zawodziło nas zawsze, pocóż bawić jeszcze innych swoją śmiesznością, czemuż nie możemy zrzucić z siebie skóry komedyantów?

Nosimy z dumą sztandar cierpienia i cieszymy się z cudzej sympatyi. Jak żebracy łachmany, tak my światu pokazujemy twarz „wyniosłego“ bólu pełną, chciwi słówka litości. A jeżeli chcemy pokazać cośmy warci, zamieniamy się w linoskoczków i cieszymy się, że któryś z naszych znalazł uznanie u obcych. Wołamy wtedy „nasz wielki, nasz genialny — nasz i nasz,“ choć żeśmy mu przedtem nic nie dali krom nieufności i drwin lekkich.

Tu właśnie leży odwrotna strona medalu.

Zapominamy o tem, że tego zapoznanego u nas człowieka wypędziła z kraju dola, że doznawszy zawodu jako Polak, poszedł do obcych jako człowiek. Wobec takich ludzi my tracimy wszelkie pretensye.

Ale to już było małe zboczenie od tematu, jest to słabostka innego rodzaju, próżność lub inny nierozum. Gorszą w tych wypadkach jest właśnie owa chciwość cyrkowego poklasku. Rzucają nam niedogryzione kości zdawkowego uznania a my je chwytamy w myśli, że zasiadamy do uczty armusowej. Serca nieczułe, łby nie — orle, tylko dusze „nieswoje“, tylko pióra pawie... Gdzież nasza duma narodowa?

Akoli.

ści, nie przesadzę wiele, twierdząc, że młody Sokół Królestwa w bardzo krótkim dorówna czasie swym wzorom za kordonowym. *Sarmata.*

Przegląd prasy.

Przedmiotem powszechnej radości w społeczeństwie i w prasie, przedmiotem ogólnej dyskusyi jest zwycięstwo polskiego kandydata p. Adama Napieralskiego na G. Śląsku.

Myśmy już swego czasu dali wyraz radości pojednania się dotąd zwaśnionych obozów do wspólnej pracy nad odrodzeniem G. Śląska. W tej myśli radujemy się też i z tego nowego zwycięstwa, w tej myśli witamy je jako nowy krok naprzód idei narodowej i dla tej myśli dzielimy się z czytelnikami naszymi pokłosiem radosnych z powodu tego zwycięstwa głosów naszej prasy.

Tuż po wyborze napisał *„Katolik:“*

„W niwecz obróciły się mowy, prośby, zaklęcia i groźby centrowców. Nie pomogły przedkładania ks. posła Głowackiego, nie pomogły wprost niegodne zarzuty ks. Kokotta i jego oburzające oświadczenia. Nie poparły tonącej sprawy centrowej rozliczne nieudane wiece, na których potrząsano z rozpaczą prawie zszarzałym sztandarem centrowym. W niwecz obróciły się zażarte artykuły prasy hakatystyczno-centrowej. Na nic wszystkie wysiłki. Lud wydał wyrok! Zważył plewy, które mu dawano zamiast ziarna — i odrzucił od siebie. Napieralski zwyciężył — i zwyciężył świetnie“.

W tym samym duchu pisze *„Polak“* posła Korfantego:

„W okręgu bytomsko-tarnogórskim lud polski poszedł za przykładem braci z katowicko-zabrskiego i pobił w bezkrwawej walce wyborczej na łeb i szyję wszystkich przeciwników swoich“.

Gliwicki *„Głos Śląski“* pobudza społeczeństwo do nadziei w lepszą przyszłość, pisząc:

„Nowe to zwycięstwo polskie odbije się głośnem echem po wszystkich ziemiach polskich, a nam tu na Śląsku, gnębionym i uciskanym, doda nowej otuchy i wiary w własne nasze siły do pracy polskiej narodowej nad sobą i dziećmi naszemi“.

W tej samej myśli nazywa *„Gazeta Opolska“* zwycięstwo Napieralskiego:

„dobrą nowiną, która wszystkiemu ludowi polskiemu przedewszystkiem na całym Górnym Śląsku doda otuchy i pokrzepienia w ciężkiej walce o byt narodowy i prawa narodowe“.

Nadto wszystkie pisma jednomyślnie oddają cześć zasłużoną ludowi, który tak dzielnie stawał do urn wyborczych. Niemała to chwała dla polskiego imienia. Lud polski dumny może być z tego zwycięstwa.

Niemniej uradowane od pism górnośląskich, które powyżej przytoczyliśmy są także i pisma nasze wielkopolskie, zachodnio-pruskie i na obczyźnie.

„Postęp“ n. p. pisze:

„Twierdza centrowców na Górnym Śląsku jest już przełamana; na nic się zdały wszelkie wysiłki księży-germanizatorów. To świetne zwycięstwo górnośląskie jest jasnym promykiem, jakich nam tak mało przyświeca na zbolałej drodze naszego narodowego żywota. Cześć ludowi górnośląskiemu i jego przywódzcom!“

„Goniec Wielkopolski“ powiada:

„lud polski zadokumentował, że nie chce centrowców. A nie pomogły im nic prusacko-hakatystyczne debiuty księży Kokotta, Glowatzky'ego, Zielonkowskiego i innych, którzy sądzili, iż lud polski na Śląsku zawsze jeszcze jest „bydełkiem“ wyborczem“.

Niemiecka prasa oczywiście stara się obniżyć znaczenie tego zwycięstwa. To jej się naturalnie nie udaje. Co najlepsza, to, że z powodu wyborów wynikł ostry spór pomiędzy pismami centrowemi a hakatystycznemi. Centrowe pisma powiadają, że klęskę ich spowodował hakatyzm. Pisze n. p. *„Oberschlesische Volksztg“*, że zwycięstwem Polaków w bytomsko-tarnogórskim

„hakatyzm dostał *moralny* policzek, że wynik tych wyborów jest *straszną klęską* dla pruskiej polityki antypolskiej na Górnym Śląsku. Bo cóż? co rok wyrzuca się setki tysięcy marek z worka rządowego na popieranie niemczyzny. Wyrzuca je się na niemieckie biblioteki ludowe, na teatry germanizatorskie, na biblioteki wędrujące, na „elternabenty“ na nagrody dla urzędników, na „ostmarkenculagi“. Hakatyści powiadają rządowi, że *niemczyzna robi postępy*, że tylko trzeba coraz więcej dawać pieniędzy, a *niemczyzna zwycięży. A tymczasem niemczyzna ciężką poniosła klęskę*“.

Prawda — możemy od siebie dodać i życzyć, ażeby za tym policzkiem, za tą klęską coraz dalsze dotkliwsze następowały. Hakatyzm bowiem tylko wtenczas ustąpi, gdy cały naród niemiecki przekona się, że idąc na pochyłej drodze jego polityki — on sam zbankrutować może.

Koncept udał się poznańskiemu „Tageblattowi“, który złość swoją nkrywa za przepowiednią, że

„jeżeli do walki z Polakami zjednoczą się wszyscy Niemcy, to zwycięstwo polskie, okaże się zwycięstwem pyrrhusowem.“

Znaczyć to niby ma, że to zwycięstwo żywioł polski osłabi. Biedakowi chyba zmysły się pomięszały, bo widocznie do szeregów swych pragnie nawet i socyalistów wciągnąć. Ciekawiśmy jakby też takie bractwo wyglądało?...

My w każdym razie spodziewamy się po tem zwycięstwie dalszych postępów idei narodowej na Górn. Śląsku. Te nadzieje nasze utwierdza tamtejsza prasa, która trzeźwo patrzy w przyszłość, a po pierwszej radości wraca do pracy nad oświatą ludu z tem większą otuchą. Swiadczy o tem artykuł „Górnoślązaka,“ który w „Słowie po wyborach“ tak pisze o dalszej pracy nad odrodzeniem Śląska:

„Przed nami leży obszerne, szerokie pole pracy, trzeba więc nadal imać się politycznego pługa i pruć glebę szczerkowatą, aby z niej wyorać plon bogaty. Do tego potrzeba przedewszystkiem zapału do tej pracy. A zapał ten skąd wziąść? Otóż powiedzmy sobie, dla kogo pracujemy. Czy dla siebie samych tylko? Nie. My z naszej pracy tylko drobne uszczkniemy plony. Praca nasza ma plonować tym, którzy po nas żyć będą; dzieciom i wnukom naszym. Nie ma takiego ojca, któryby głównie dla siebie pracował. — Pracuje on raczej dla dzieci swoich — dla przyszłości, dla potomności się trudzi. Tak otóż jest i w politycznem i społecznem życiu. I z tego czerpmy zapał, podniecający nas do nowych wysiłków!“

Chwała Górnoślązakom, niech będą przekonani, że cała Polska tym ich wysiłkom gorąco życzy obfitego plonu. Szczęść Boże.

Listy z Westfalii.

Horsthausen, d. 16. 6. 06.

(Upadek „Dziennika Polskiego“ a „Wiarus Polski.“)

„Drukarnia spółkowa“ w Dortmundzie upadła. „Wiarus Polski“ podaje do wiadomości swoim czytelnikom, że szkoda było grosza na drugie pismo polskie na obczyźnie. — Zdanie to powtórzył za „Lechem,“ a od siebie dodal, że „większą część kosztów ponoszą biedni ludzie, ponaciągani przez polityków z pod ciemnej gwiazdy.“

„Ostatnie występy „Dziennika Polskiego“ — pisze dalej „Wiarus,“ — które poparła polakożercza prasa centrowa i socyalistyczna, nawet najobojętniejszym wykazały, czego się po „Dzienniku Polskim“ spodziewać było można.

Tak pisze pismo chcące uchodzić za pismo szczerze ludowe i „zasłużone“ około dobra polskiego ludu na obczyźnie, ciesząc się z upadku pisma

szczerze narodowego, które zanim ujrzało światło dzienne, już było solą w oku „Wiarusa.“

— Obędzie się też bez czułości panów Brejskich nad „biednymi ludźmi,“ którzy będą zniewoleni ponieść znaczne straty, za winy polityków z pod ciemnej gwiazdy, gdyż ten robotnik i rzemieślnik wiedzą dobrze, komu w pierwszym rzędzie mają do zawdzięczenia swoje straty. Widzieliśmy od samego początku powstania „Dzien. Pol.“, czy jak go panowie Brejscy nazywali „Dziennika Dortmundzkiego“ — z jaką złośliwą zajadłością go zwalczano. Najprzód starano się lud otumanić, że to jest pismo centrowe, potem ugodowe; wreszcie schwycono się osoby wydawcy, i okrzyczano go jako człowieka najgorszego gatunku, bez czci i wiary.

Kiedy starano się pogodzić panów B., odrzucali wszelkie możliwe środki a wreszcie doszło do tego, że sądy pruskie pod naciskiem kary, godziły polskich redaktorów. Kiedy „Dziennik Polski“ przeszedł w ręce spółki sądzono, że nareszcie nastąpi zgoda, lecz niestety panowie B. cały jad nienawiści skierowali przeciwko spółkowcom posługując się najbrudniejszymi środkami, przechodzącymi nieraz wszelką miarę, jako też denuncyacyą i bojkotem.

I dzisiaj czują rzekomo ci panowie dla strat tych „biednych ludzi“ współczucie — o obłudo! — Toć ci biedni ludzie wiedzą, że tylko „Wiarusowi“ mają do zawdzięczenia swoje straty. Są naturalnie tacy z robotników, którzy owoc swej całoletniej pracy łożyli na utrzymanie „Dziennika,“ ale to ludzie stałego charakteru; nie żałują bowiem tych strat, gdyż wiedzą, że ten ciężko zapracowany pieniądz złożyli jako ofiarę na ołtarzu ojczyzny. Smutno i śmieszno zarazem, że „Wiarus,“ zwalczał bezustannie zwolenników „Dziennika“ jak tylko mógł bądź to na wiecach publicznych, bądź przez swoich agentów.

— Dlaczego „Wiarus“ zwalczał „Dziennik?“ — pyta nie jeden z was szan. Czytelnicy. — Oto dla tego, że jak wszystko złe nienawidzi światła dziennego, tak panowie Brejscy niemogą znieść prawdy. Oni powiadają sobie: co my czynimy, jest wszystko dobre, a biada temu, ktoby chciał przeczyć. *R. K.*

* * *

II.

Freisenbruch, d. 14. VI. 06.

Szanowna Redakcyo!

Niech też Sz. Redakcya umieści w „Pracy“ opis następującego wypadku. Proszę posłuchać, jak to wygląda w państwie kultury i bojaźni Bożej.

Dzisiaj jest najuroczystsze święto z całego roku. Sam Bóg, Pan nad Pany zstępuje dzisiaj z nieba na ołtarz. A oddają mu cześć i pokłon różne chrześciańskie narody. My Polacy w ogóle byśmy życie za to stawili.

Jak tedy wyszła procesya z farnego kościoła w Steele, tak naraz przystępuje pruski policyjny urzędnik *do Tow. św. Piotra* ze Steele i żąda od chorążego i asystentów zdjęcia czapek z głowy, a że mu zadość nie uczynili, zapisał ich i prezesa na karę.

Kiedy zaś pochód ruszył, przystąpił urzędnik *do Tow. św. Antoniego* z Freisenbruch i zabrał chorążym czapki. Więc mogło Tow św. Antoniego iść z procesyą bez czapki, bez oznak i bez chorągwi.

Dnia poprzedniego policya doniosła o tem Tow. św. Piotra w Steele, Tow. św. Antoniego we Freisenbruchu nic o takim zakazie nie wiedziało. Pomiędzy ludnością powstało z tego powodu wielkie rozgoryczenie. Tow. św. Antoniego musiało się wreszcie rozejść, nie chcąc znosić docinków publiczności.

Polacy rozeszli się spokojnie, nie dając policyi powodu do wkroczenia. Doświadczenie pouczyło nas, że policya w danym razie nie cofa się przed niczem.

Będziemy jednak dochodzić praw naszych. X....

Od Redakcyi: Wypadki podobne zaszły także gdzieindziej. Ubolewamy, że Tow św. Antoniego i św. Piotra wyrządzono taką przykrość. Ale — czy to przy chorągwi należy chodzić w czapkach? czy wypada to podczas uroczystej procesyi?! — Zresztą jakie to czapki, czy nie na sposób niemieckich szyte? — Rozważcie sobie dobrze, Rodacy, że polskość ani wiara Wasza od czapek nie zależy. Sztandaru brońcie — ale z odkrytą głową i dumnem czołem, jak na Polaków przystoi.

„Straż.“

O zadaniach Sekcyi ekonomicznej „Straży.“

Niestety o celach tej Sekcyi „Straży“ w społeczeństwie naszem błędne poniekąd panuje pojęcie, dla tego korzystnem będzie, sprawę tę wyświetlić.

Często spotykamy się z zapatrywaniem, że Sekcya winna *udzielać zapomogi każdemu*, który bez własnej winy popadł w nieszczęście, lub też ma zamiar, nie posiadając dostatecznych funduszów, się usamodzielnić, lub też powiększyć swój interes.

Ci wszyscy zapominają o tem, że do wypełnienia podobnych zadań *ogromnych potrzeba kapitałów*, których niestety „Straż“ nie ma do dyspozycyi. Nie zważa się także na to, że bardzo często poznanie osobistych kwalifikacyi zgłaszającego się o pomoc z nadzwyczajnemi połączone jest trudnościami, a często pomimo wszelkich ostrożności niegodnemu zapomoga udzieloną być może. A przecież pieniądze, które „Straż“ dysponuje, to grosz publiczny, za którego zużytkowanie „Straż“ *odpowiedzialną jest przed całem społeczeństwem!* Pomijając wymienione trudności, musimy zważać na to, że darowizny i zapomogi tego rodzaju, jakie udziela n. p. Towarzystwo popierania niemczyzny na kresach wschodnich *przyczyniają się do demoralizacyi społeczeństwa*, której „Straż“ właśnie ma zapobiegać.

Dla tego też na ostatniem zebraniu starostów zmieniono regulamin, nakładający każdej Sekcyi ścisły program działalności. Leży to w interesie członków „Straży,“ którzy będą wiedzieli, z jakiemi sprawami udawać się mają do „Straży,“ ale także w interesie Sekcyi samych, będących dotychczas obarczonemi najrozmaitszemi sprawami, nie należącemi do ich kompetencyi.

Zadaniem Sekcyi ekonomicznej jest:

1) zbieranie materyałów statystycznych tyczących rólnictwa, kupiectwa, przemysłu, rzemiosł i stósunków robotniczych.

2) informowanie społeczeństwa o ekonomicznych warunkach i potrzebach rólnictwa, kupiectwa, przemysłu i rzemiósł celem podniesienia siły produkcyjnej i zarobkowej społeczeństwa.

3) Wpływanie na opinię publiczną w sprawach powyższych, mianowicie ze względu na hasło: Swój do swego!

4) udzielanie wskazówek i ułatwianie kredytu jednostkom, gdzie tego wymaga interes ogółu.

Każdy przyzna, że powyższe zadania nie są bezbrzeżnemi, że Sekcya im sprostać może naturalnie przy pomocy społeczeństwa odnośnie członków „Straży.“ N. p. zbieranie danych statystycznych może się li tylko odbywać z współudziałem osób chętnych. Sekcya zajmuje się obecnie statystyką rzemieślniczą, ażeby wykazać stan i położenie naszego rzemiosła, ażeby wyśledzić, które zawody u nas są dostatecznie w ogólności i poszczególnych miastach reprezentowane, które są zyskowne i którym młodzież nasza poświęcać się winna. Z wszystkich dalszych punktów programowych widzimy szczerą chęć zainteresowania

się naszemi sprawami ekonomicznemi, które pod niejednym względem wymagają koniecznej naprawy. Nad nią winno całe społeczeństwo wspólnie z Sekcyą ekonomiczną pracować, a poszczególne zawodowe Towarzystwa winny w niej szukać i znaleźć sprzymierzeńca i przyjaciela, pracującego obok nich na ogólnej niwie społecznej.

Sekcya ekonomiczna Straży.

* * *

Z biura „Straży" następujący otrzymujemy komunikat:

Prośba!

Zabierając się do ułożenia i wydania wykładów popularnych i naukowych, zebrać chcemy obfitszy materyał gotowy. Prosimy zatem wszystkie chętne i życzliwe „Straży" osoby, które wykłady tego rodzaju wygłaszały i spisywały, aby zechciały je nadesłać sekcyi kulturalnej do wyłączonego użytku.

Pożądane są przedewszystkiem prace, mające ogólniejsze cele oświaty na oku: wykłady z historyi nowszych czasów, z hygieny i przyrody, z dziedziny odkryć i wynalazków, z poglądów na kupiectwo i przemysł bez ściśle fachowego charakteru.

Sekcya kulturalna „Straży" zastrzega sobie przy opłacie stósownego honoraryum dowolny wybór w nadesłanych pracach, które winne napisane być przystępnie, jasno i zwięźle — a obejmować mniej więcej 1 arkusz druku (16 stron średnich).

Przesyłki adresować należy: *Dr. Tadeusz Jaworski, Poznań — Posen.*

Sekcya kulturalna „Straży".

* * *

Wiec „Straży" w Strzyżewie kościelnem. W niedzielę dnia 24-go czerwca r. b. o godzinie 1-szej po południu odbędzie się wiec „Straży" w Strzyżewie kościelnem, w szopie tartakowej p. W. Herbsta, na którym przemawiać będą: Starosta na powiat mogileński p. J. Dziembowski z Sosnówca i inni.

Liczny udział pożądany.

Komisarz „Straży."

* * *

Wiec „Straży" odbędzie się w niedzielę dnia 24-go b. m. w gminie *Górale* w Prusach Zachodnich o godz. pół do 5-tej po południu w lokalu p. Fr. Sikorskiego.

O liczny udział prosi rodaków z Konojad, Lembarga, Mileszew, Godziszki i t. d. jako też miejscowych i z bliższej okolicy.

Pisma nasze proszę o powtórzenie tej odezwy.

Bolesław Bardzki,
starosta powiatu brodnickiego.

Wiec „Straży" w Grudziądzu odbędzie się w niedzielę dn. 1-go lipca b. r. o godzinie 12-tej w domu przemysłowym (Gewerbehaus).

Gonczerzewicz,
starosta na Grudziądz.

* * *

— *Pierwszy Wiec Straży w Dreźnie* odbędzie się *w niedzielę, dnia 1-go lipca 1906 roku* o godzinie 11-tej przed południem na sali lokalu *„Meinhold's-Festsäle"* przy Moritzstr, narożnik König Johannstr.

O jak najliczniejszy udział w wiecu upraszają rodaków z Drezna i okolicy

Stanisław Malski
komisarz „Straży" na Drezno i okolicę.

Franciszek Krysiak,
starosta „Straży" na Berlin, Brandenburgię i Saksonię.

Ruch w Towarzystwach.

„Towarzystwo Przemysłowe" w Poznaniu urządza w niedzielę, dnia 24-go b. m. w ogrodzie *Parku Wiktoryi* (p. Binerta.) „zabawę latową." Dochód przeznaczony na fundusz stypendyalny dla młodzieży przemysłowej. Wstęp dla Panów zaproszonych 1,00 mrk., dla członków 0,50 mrk. Program zabawy wielce urozmaicony.

Z Towarzystwa Urzędników Gospodarczych. Sprawa Towarzystwa Urzędników gospodarczych zajmuje dziś u nas wybitne miejsce, a to dzięki naszemu Ziemiaństwu. Od czasu jak ono szczerze się zajęło dolą urzędników — od 2-ch lat mniej więcej — rozwój Towarzystwa zwiększył się znacznie.

Niechaj o tem dadzą świadectwo następujące cyfry:

Było członków w r. 1904 351, w r. 1905 414.

Przybyło członków honorowych w r. 1904 4, w r. 1905 44.

Przybyło członków rzeczywistych w r. 1904 11, w r. 1905 30, w r. 1906 21.

Załatwiono korespondencyi w r. 1904 834, w r. 1905 1683, w r. 1906 1507.

Umieszczono za pośrednictwem biura Towarzystwa w r. 1904 2, w r. 1905 18, w r. 1906 27.

W dwudniowych wykładach wzięło udział w r. 1904 49, w r. 1905 46, w r. 1906 183.

Z roku na rok zatem postęp coraz większy, nie ustawajmy w pracy, gdyż bezowocną ona nie będzie; jednajmy też jak najwięcej członków Towarzystwu.

Zwracamy się przy tej sposobności z uprzejmą prośbą do Szanownych Panów właścicieli ziemskich, aby korzystać zechcieli z naszego biura i w razie zapotrzebowania zgłaszali się po urzędników wprost do nas. Pośrednictwo *zupełnie bezpłatne.*

Obecnie wskazać możemy jeszcze kilku urzędników żonatych i kawalerów z świadectwami jak najlepszemi i upraszamy o łaskawe zgłoszenia pod adresem sekretarza.

Zarząd Główny.
Koz. Brownsford, prezes. *Józ. Winiewicz,* sekretarz, ul. Ogrodowa Nr. 13.
Stan. Chrzanowski. Fr. hr. Kwilecki. W. Magowski.

„Wyzwolenie", Towarzystwo zupełnej wstrzemięźliwości od napojów alkoholowych. Szanownym członkom donosimy, iż zebranie Towarzystwa odbędzie się w uroczystość św. Apostołów Piotra i Pawła, dnia 29 b. m. o godzinie 7 i pół wieczorem na sali Dominikańskiej. Również goście mają wstęp wolny. Dnia 8 lipca wycieczka. O liczny udział prosi *Zarząd.*

VI-ty Zlot „Okręgu V-go Zachodniego" „Związku Sokołów Polskich w p. n. odbędzie się *w niedzielę, dnia 8-go lipca 1906,* na torze wyścigowym *w Treptow pod Berlinem.*

Program:

Rano o godzinie pół do 7-mej punktualnie zawody jednostek, o godzinie 7-mej generalna próba ćwiczeń zlotowych. Od godziny 2-giej do 3-ciej po południu dalszy ciąg zawodów.

Po południu o godzinie 3-ciej: Koncert Orkiestry druha Zaremby. Wyścigi druhów Kołowników.

Punktualnie o godzinie 4-tej: Początek ćwiczeń Zlotowych.

Porządek:

1. Pochód ozdobny i ćwiczenia żerdziami Okręgu V.
2. Ćwiczenia na przyrządach w zastępach.
3. Gościnny występ „Żeńskich Tow. gimn."
   a) ćwiczenia wspólne wolne (rejowe),
   b) ćwiczenia poszczególnych Tow.
4. Ćwiczenia zastępów wzorowych na przyrządach.
5. Ćwiczenia uczni laskami.
6. Popisy poszczególnych gniazd:
   a) Hamburg, Grohn, Delmenhorst — laskami.
   b) Rixdorf — podpórkami.
   c) Berlin II. (Moabit) — piramidy.
   d) Charlottenburg — lancami.
   e) Berlin I. — maczugami.
7. Wymarsz.

Od godziny 8-mej Wieczornica na sali Kellera, przy Koppenstrasse 29.

Wrocław. „Tow. Przemysłowców Polskich w Wrocławiu urządza w *niedzielę 24-go czerwca* zabawę latową w Masłowicach (Masselwitz) w ogrodzie browaru, na którą szanownych Rodaków uprzejmie zaprasza

Komitet.

Wyjazd parowcem o godz. pół do 2-giej po poł. przy Königsbrücke; następne parowce odchodzą co pół godz.

Program: bardzo urozmaicony, oraz tańce.

Wstępne dla Panów włącznie jednej Pani 50 fen.

Uwaga: powyższa zabawa w II-gie święto Zielonych świąt z powodu niepogody, się nie odbyła.

Wiadomości.

* **Chłostę w szkole** sądzą sądy w najróżniejszy sposób. Jedne karzą nauczycieli za lekką, inne nie karzą nauczycieli nawet za najostrzejszą chłostę. Podobnie ma się rzecz z wyrokiem wydanym przez najwyższy sąd administracyjny na pewnego nauczyciela w *Borku,* który obił ucznia trzepaczką. Lekarze stwierdzili u ucznia kilka czerwonych plam na twarzy. Nauczyciel twierdził, że nie bił ucznia po twarzy i że owe plamy muszą mieć inny powód. Chłopiec natomiast utrzymywał, że nauczyciel uderzał go trzepaczką po twarzy.

Po przesłuchaniu kilku lekarzy wytoczono nauczycielowi proces o przekroczenie prawa chłosty. Rejencya jednak zaprotestowała przeciwko procesowi, twierdząc, że nauczyciel nie przekroczył prawa chłosty, ponieważ chłopiec po ukaraniu nie zachorował, ani też nie poniósł szwanku na zdrowiu. Najwyższy sąd administacyjny przychylił się do wywodów rejencyi i cofnął proces, wywodząc, że choćby nawet nauczyciel bił chłopca trzepaczką po twarzy nie jest on winien przekroczenia prawa chłosty. Według rozkazu gabinetowego z dnia 14-go maja 1825 r. nie mają kary cielesne być tego rodzaju, żeby działały szkodliwie na zdrowie dzieci szkólnych. W wymienionym wypadku według zeznań lekarskich nie ma o tem mowy. — Uwagi aż nadto zbyteczne.

* **Dola redaktorów:** „Lechowi" gnieźnieńskiemu wytoczyła prokuratorya od razu kilka procesów. — Za potępienie sprzedawczyków skazany został swego czasu p. Zygm. Słupski, red. „Komara" na 300 mk. kary. Wniesiona rewizya o tyle odniosła skutek, że sprawa przekazana została do ponownego rozstrzygnięcia sądowi ziemiańskiemu w Poznaniu.

* **O obrazę agenta** komisyi kolonizacyjnej toczył się proces przeciwko red. „Dz. Pozn." p. *D. Królikowskiemu* przed poznańskim sądem ławniczym. Co najdziwniejsza, to że sąd uznał redaktora winnym obrazy, to znaczy się, że: być agentem komisyi kolonizacyjnej — *nie jest rzeczą honorową.* Bardzo pięknie, że do tego przekonania nawet sądy pruskie dochodzą!......

* **Nowa „szlachta niemiecka".** Przed niedawnym czasem omawiano w prasie niemieckiej nobilitacyę kilku bardzo bogatych żydów w Prusach. Przy tej sposobności przypomniano sobie inną, datującą się z przed dwóch lat. Jak donosi londyński pismo żydowskie „Jowish Chronicle", ofiarowano wówczas szlachectwo zięciowi i głównemu sukcesorowi frankfurtskiego Rotszylda, p. Maurycemu Goldschmidtowi, ale pod warunkiem, aby nabył większe dobra ziemskie. To się też stało, a szczęśliwy nabywca otrzymał nazwisko von Goldschmidt-Rothschild. Tym kupionym przez nowego szlachcica majątkiem są *Wroniawy,* nabyte za milion marek, dawna własność Stanisława hr. Platera, dyrektora banku „Tellus". Oprócz kupna majątku ziemskiego, który z góry w Księstwie wybrać kazano dla wzmocnienia niemczyzny, ofiarował jeszcze p. Goldschmidt przeszło stotysięcy mk. na założenie szpitala powiatowego w Wolsztynie. — Co na to Polacy, kupujący towary u żydów?

* **Drugi zlot sokolski w Holandyi** odbył się dnia 17 b. m. Udział w zlocie wzięły gniazda okręgu VII nadreńskiego i X nadreńsko-westfalskiego. Razem było druhów 565, ćwiczyło 353. Polacy zebrali się we Winterswyk w ogólnej liczbie około 1000 osób. W ćwiczeniach odznaczyły się gniazda Dysseldorf, Oberhausen I, Kolonia, Herne, Ueckendorf i Wanne II.

Przebieg zlotu był według opisu „Wiarusa Polskiego" wprost wspaniały. Liczba ćwiczących od dwóch lat znacznie wzrosła w roku 1904, na zlocie w Dortmundzie stanęło do szeregu około 400 Sokołów. Jeżeli do powyższej liczby 353 doliczymy 169 z okręgu IX otrzymamy pokaźną liczbę 522 ćwiczących w 3 okręgach westfalskich.

Czołem za to druhom z Westfalii i Nadrenii. Niech zawsze idą naprzód — wstecz ani krok!!

* **Niebezpieczne „Gniazdo".** W Poznaniu istnieje spółka budowlana „Gniazdo", która kupiła dom, a ogród za domem oddała na ćwicznią dla Sokola. Za to wytoczył jej prokurator proces, niby, że się w politykę wdaje. Sąd ławniczy uznał atoli, że p. prokurator trochę niedobrze rozumował i skargę odrzucił. Tenże atoli apelował, ale izba karna odrzuciła jego apelacyę.

* **Nie w Rawiczu lecz w Dubinie** pod Rawiczem odbędzie się wiec wyborczy w niedzielę dnia 24-go b. m. Gospodarz hotelu pod orłem w R. sali odmówił pod grozą hakatystycznego bojkotu. Niech rodacy tem liczniej podążą do Dubinia.

* **W Śmiglu** odbędą się wybory uzupełniające do rady miejskiej. Dwóch „kulturtregerów" wynosi się do — Poznania i to aptekarz Hanisch i p. B. Neumann, obaj z pierwszej klasy. W klasie drugiej złożył urząd radzcy niejakiś Scholz. Polacy i Niemcy agitują za swoimi. Czyje będzie zwycięstwo? — Niestety, Śmigiel należy do miast dźwigających się dopiero z pod uścisku „kultury".

* **Grodzisk:** W niedzielę dnia 24-go b. m. odbędzie się na sali p. *Węclewicza* zabawa latowa na cel dobroczynny. Początek o godz. 4-tej. — Wieczorem tańce na sali.

* **W Mogilnie** zmusiła policya „Sokoła" do usunięcia sztandaru swego z procesyi. Sokoli ustąpili, gdy policya zagroziła, że *procesyę rozwiąże.* — Naszem zdaniem policya mogileńska okazała tutaj bezdenną nieznajomość prawa krajowego. Policyi procesyi według tego prawa rozwiązać nie wolno. To postępowanie policyi niczem się nie da wytłomaczyć, nawet tem nie, że sądy na zasadzie prawa o stowarzyszeniach każde zbiorowisko ludzi uważają za zebranie. Procesye nie podpadają pod prawo o stowarzyszeniach. Reprezentacye i zarząd kościelny powinni się uskarżyć na samowolę policyi do władz wyższych.

* **W Gąsawie** policya przeszkodziła utworzeniu się towarzystwa wojackiego przez to, że nie zatwierdziła podobno ustaw dla tego, że wielką część członków stanowili Polacy należący do „Straży". Policya gąsawska wymierzyła tem samem — jeżeli to wszystko jest prawdą — Polakom, którzy do tow. wojackiego należą, straszny policzek i pokazała im, że barany między wilków chodzić nie powinni.

* **Pleszew.** W niedzielę, dnia 10 czerwca obchodził „Sokół" tutejszy 15 rocznicę założenia swego. Rano o godzinie 8 i pół odprawiono na intencyę towarzystwa mszę świętą. Z obawy, aby władza nie odmówiła pozwolenia, zaniechano w tym roku urządzenia ogólnej zabawy. Musiano się kontentować skromną wieczornicą bez udziału pań. Poważny przebieg wieczornicy każdego z uczestników zadowolił. Obecnych dwóch reprezentantów policyjnych doglądało niebezpiecznych ćwiczeń.

Najpierw wygłosił prezes Sokoła, d. A. Noskowicz bardzo dobrze opracowany odczyt: „O powstaniu ćwiczeń i jakie są cele sokolstwa". Potem kolejno następowały przemowy, deklamacye, ćwiczenia i śpiewy. Mianowicie ćwiczenia udały się bardzo dobrze, co też potwierdziły burze oklasków, którenu darzono wykonawców. Ćwiczono laskami, na prężniku, dwudrągu i piramidy.

Bawiono się, chociaż bez tańcy, ochoczo. Sokoli pokazali, że umieją się bawić pod okiem stróżów bezpieczeństwa, okazując hart i wytrwałość.

Oby wrażenia, odniesione na odbytej wieczornicy, pozostały nam długo jeszcze w pamięci. *T.*

* **Ze Śremu** obchodzą obecnie za „Gazetą Polską" i „Lechem" w pismach naszych wiadomości o dziwnem zachowaniu się tamtejszego ks. prob. Beckera. Odbywał się niedawno wiec w sprawie polskiej nauki religii w Śremie — ks. proboszcz nie przyszedł. Tłomaczą fakt ten tak: Ks. B. obraził się na Polaków za jedno z polskich towarzystw, które odegrało sztuczkę teatralną, w której występował kapelan wojskowy, przedstawiony bardzo ujemnie. Ks. B. był kapelanem i widocznie wziął rolę tę do siebie. Niesłusznie, bo sztuczka wćwiczoną była przed przyjazdem ks. B. do Śremu. Następnie ks. B. chciał być wybrany do dozoru szkólnego, do którego należało 3 Niemców i 3 Polaków. Polacy ks. B. wybrać nie chcieli, bo nie wiedzieli, po czyjej stronie stać będzie. Rozgniewany tem ks. B. na wiec nie przybył, ale nawet delegacyę proszącą go, by wziął udział we wiecu, nieomal za drzwi wyrzucił.

Wobec tego zauważyć należy, że księża Niemcy, choćby i najzacniejsi w gruncie rzeczy zawsze Niemcami pozostaną. A ta ich niemieckość nie po-

zwoli im stanąć w jednym szeregu z parafianami polskimi, kiedy ci bronić będą praw — polskiego języka. — Trzeba to sobie zapamiętać.

* **Żnin.** Na kościół w Żninie złożyli w dalszym ciągu: pp. W. Piotrowska z Rydlewa 5 mrk., S. Snowadzka z Krempy p. Ostrów 3 mrk., F. Kaszyńska 4 mrk., za pośrednictwem Piotra Janowiaka z Milwaukee w Północnej Ameryce 122 mrk., za pośrednictwem Łukasza Gluby z Millerwille w Półn. Ameryce 37,55 mrk., J. Budziński z Skarbienic 10 mrk. — „Bóg zapłać!"

Ks. Władysław Jasiński,
administrator.

* **W Toruniu** odbył się wiec Polek w święto Bożego Ciała. Na wiecu założono oddział „Związku Pracownic polskich". Związek sam istnieje w Bochum we Westfalii.

* **Z Kaszub.** Do „Gaz. Grudz." donoszą, że w parafii strzelińskiej ksiądz prob. Dietrich zaprowadza niemiecki śpiew dla dzieci w kościele, kazania niemieckie i czytanie ewangelii św. po niemiecku. Widocznie mowa tu o t. zw. „mszach szkolnych", o które w Prusiech zachodnich między proboszczami a władzą szkolną toczy się zatarg. Ks. proboszcz strzeliński należy widocznie do tych, którzy pomagają szkole w jej zakusach germanizacyjnych i nadużywają ku temu świętych progów kościoła. Czy księdzu temu nie przychodzi na myśl, że postępuje sobie niegodnie i nie po chrześciańsku?

* **Z Górnego Śląska.** Kwiatek — bardzo brzydki osławionej kultury pruskiej podaje „Kattowitzer Zeitg." Otóż w nocy z niedzieli na poniedziałek wywiązała się w przedziale trzeciej klasy pociągu jadącego z Bytomia do Chorzowa bijatyka pomiędzy Niemcami a Polakami. Panowie owi wsiedli w Bytomiu do jednego przedziału; gdy w drodze p. B., D. i K. z Siemianowic rozmawiali z sobą po polsku, zostali niespodzianie przez jadących razem z nimi Niemców z Katowic wypoliczkowani. Jeden Niemiec wrzeszczał przytem: „Wy przeklęte psy polskie, jeżeli jedziecie koleją niemiecką, to musicie też mówić po niemiecku". Naturalnie, że Polacy nie puścili tej napaści płazem i wywiązała się w wagonie bijatyka. Na stacyi w Chorzowie zapisano nazwiska wszystkich. Pomiędzy spoliczkowanymi znajduje się jeden Niemiec, który z towarzyszami swymi rozmawiał po polsku. Sprawa przyjdzie teraz przed sąd".

Podobno wypadki ostrych starć na Górnym Śląsku między Polakami a Niemcami wcale nie są rzadkie. Co najgorsza jednak, że hakatystyczne pisma nie mają ani słówka nagany dla szukających zaczepki Niemców. To niesłychane — ale charakterystyczne

* **W Marxloh** (na obczyźnie w Nadrenii) założone zostało dnia 10-go b. m. Towarzystwo gimnastyczne „Sokół" pomimo różnych przeszkód ze strony naszych najserdeczniejszych, którzy głównie na właścicieli sal wpływali, ażeby na odbycie zebrania lokalu swego nie oddali. Dzięki dobremu duchowi tutejszych Polaków cel został osiągnięty. Zgłosiło się zaraz druhów 14-tu na członków.

* **Z Ameryki:** Wiadomo, że między rodakami naszymi w Ameryce toczy się spór z tamtejszemi władzami o polskich biskupów. Walka ta widocznie toczy się bardzo ostro, jeżeli prowadzi aż do odszczepieństwa od samego kościoła. O wypadku takim donosi wychodzący w Buffalo „Polak". Otóż w 2 buffaloskich polskich parafiach św. Stanisława i św. Kazimierza panowały od dłuższego czasu zaburzenia, które doprowadziły do tego, że obecnie przeszło dwieście rodzin polskich *oderwało się* od rzymsko-katolickiego kościoła, a przyłączyło się do sekty episkopalnej.

Wypadek ten smutnie świadczy o stosunkach religijnych wśród rodaków naszych w Ameryce. Widocznie nawet podróż ks. arcyb. Symona tamtejszych sporów religijnych nie zatarła.

* **Wyższy sekundaner** poszukuje korepetycyi lub też odpowiedniego zajęcia przez lipiec. Adres wskaże Redakcya „Pracy."

* **Pan Wojciech Koźlicki,** kupiec, nabył od Niemca, p. Kiera, kamienicę na Wodnej ulicy nr. 13 za 208,000 marek.

* **Firma** *A. Modzelewicz* przy ulicy Wrocławskiej 31 (Zielona apteka) — właściciel p. *Wacław Brodziak* — poleca w ogłoszeniu *skład i pracownię bielizny damskiej, męzkiej, dziecięcej, stołowej* i t. d. Tak p. Brodziak jako rutynowany i rzutki w tej branży kupiec jak też i żona jego z domu Modzelewicz jako była dyrektryza w składach bielizny dają wszelką rękojmię, że dobrym towarem obsłużą jak najrzetelniej klientelę.

Nowe to przedsiębiorstwo polecamy gorąco względom Szanownej Publiczności.

* **Dla chorych na zęby.** W dzisiejszym numerze pisma naszego w dziale ogłoszeń zamieszczone jest ogłoszenie dentysty p. M. Kaniastego, który poleca się do wprawiania zębów, plombowania itd. P. Kaniasty znany jest od lat kilkunastu w szerokich kołach publiczności jako zdolny dentysta, który sumiennie wykonuje powierzone sobie prace po umiarkowanych cenach. Skutkiem sumiennej pracy, powołane i ustanowiono p. Kaniastego od szeregu lat w kilkunastu poznańskich kasach chorych jako dentystę kasowego, a z obowiązków swych wywięzuje się z największem uznaniem. Szanownym czytelnikom polecamy zakład dentystyczny p. M. Kaniastego.

* **Nowa cukiernia w Poznaniu.** Zwracamy uwagę na zamieszczony dzisiaj anons o otwarciu przy ul. Wrocławskiej 9 cukierni, kawiarni i winiarni p. Władysława Kurczewskiego, długoletniego współpracownika firmy A. Pfitzner w Poznaniu. Doświadczenie fachowe, nabyte przez kilkanaście lat, daje rękojmię, iż będzie umiał publiczność pod każdym względem zadowolić. Jak z ogłoszenia wynika, poleca codziennie li tylko na czystem maśle wypiekane ciasta, szczególnie torty w najrozmaitszych wykonaniach, cukry, wyborną kawę, czekoladę, jak również wszelkie inne napoje. Szanowna publiczność z pewnością panu Kurczewskiemu przy nadarzającej się sposobności poparcia nie odmówi.

* **Firma S. W. Niemojowski** ze Lwowa, której wyroby zastajemy w każdym polskim handlu papieru, urządza w połowie lipca r. b. w Poznaniu wystawę wyrobów swoich a specyalnie zaś wystawę rzeczy gwiazdkowych. — Papiery listowe Niemojowskiego, które jakościowo wcale nie ustępują, przeciwnie w niektórych gatunkach nawet przewyższają wyroby wrogiego nam żywiołu niemieckiego, zaprowadziły się w Poznaniu i w Księstwie w krótkim czasie bardzo dobrze, jak to ostatecznie inaczej być nie mogło, bo przyznać każdy z nas musi, komukolwiek sprawa przemysłu polskiego nie jest obojętną, że przyjemniej i dla oka i dla serca jest pisywać na papierze z podrukiem wodnym *Wyrób krajowy*, jak

na arkuszach z markami niemieckiemi Hammerpost, Damenpost, Edelweiss itd. Zabiegom rodaka naszego ze Lwowa należy się słuszne uznanie, i życzyć mu należy, aby wyroby jego wyparły wszelkie liche fabrykaty niemieckie, a dotarły z książęcych biur aż na wieśniacze stoły.

Od Redakcyi.

Panu A. J. Gabr. w Ostrowie. „Gazeta Bydgoska“ od dawna przestała wychodzić.

Panu Janowi W. w Röhlinghausen: Z polskich polecamy Panu: krótką gramatykę i krótką składnię — Maryi Dzierżanowskiej. Co do gramatyki „słowiańskiej,“ to prosimy o dokładną informacyą — jakiego języka słowiańskiego chce się Pan uczyć: słowackiego, serbskiego czy czeskiego? To są wszystko języki słowiańskie, a każdy posiada swoją odrębność i oczywiście osobne gramatyki. Po kupno książek radzimy Panu udać się do księgarni. „Praca“ księgarni nie posiada. Możemy Panu polecić z Poznania księgarnie: A. Cybulskiego, J. Leitgebra, Tempłowicza i Chrzanowskiego.

Panu J. K. we Wrocławiu: Adresu naucz. St. Kościańskiego nie znamy. Ks. Wł. Hemerling jest w Goraju — poczta Wirzebaum.

W różne strony: Za nadesłane nam dzienniki niemieckie dziękujemy i pozdrawiamy.

Panu Wł. Nowakowi: Naród Polski pod obcem panowaniem wyjdzie później w osobnej książce. Pozdrawiamy.

Panu Wiktorowi Ł. w Radzionkowie: Z listu Pańskiego nie możemy się dorozumieć, czy Pan chce jeden obrazek dla siebie, czy też więcej na sprzedaż. Jednego obrazka odbijać nam niepodobna, a jeżeli Pan większą ilość potrzebuje, prosimy nam donieść — ile?......

Panu R. K. O korespondencyą o „Zjednoczeniu“ prosimy, ale o spokojną i rzeczową, mającą dobro organizacyi tej na oku.

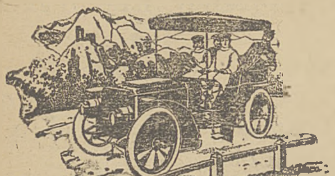
„Weel.“ — Dziękujemy — na razie wystarczą nadesłane wiersze. Pismo jest dobre.

124 A. B. Wierszyki nie od razu, ale jeden po drugim umieszczać będziemy.

„Dzierżymirowi.“ Umieścimy w jednym z przyszłych numerów.

Prezesowi w Zaniemyślu. List oddaliśmy redakcyi „Gwiazdy,“ przekonawszy się, że sprawa ta „Pracy“ nie dotyczy.

Treść nr. 25-go.



AUTOMOBILE
Koehler & Co.

Największe warsztaty reparacyjne

z zapędem elektrycznym.

Przystanek szklanny dla samochodów, stacya benzyny, oliwy, pneumatyków.

Poznań, ul. Wiktoryi 17. Telefon 1993.

Gen. repr. firmy

Rex Simplex, Ronnenburg S.-A.

¼ LOSY

do 1-szej klasy 215-ej pruskiej loteryi są po 10,10 Mk. do nabycia u

Karola Wistuba,

Królewski kolektor

w Oberglogau.

Pomocnika

młodszego i **dwóch uczni** poszukuje zaraz do **składu kolonialnego i destylacyi** 366

W. Grochowski,

Nakło a/d. Netze.

Młodszy

redaktor,

piszący poprawnie po polsku, o ile możności stylem ludowym, potrzebny do redakcyi pisma polskiego w Prusiech Zachodnich. Zgłoszenia przyjmuje 374

J. Bieliński, Pelplin,

Dobre: 349

Mydła twarde do prania

„ rzadkie

„ toaletowe

Proszki do prania

dostarcza tanio

Fabryka P. Zwierzyńskiego

w Gnieźnie.

Bank Ziemski

w Poznaniu

ulica Wiktoryi nr. 2.

pośredniczy przy kupnie i sprzedaży oraz wydzierżawianiu tak większych jak i mniejszych majątków ziemskich, na które ma reflekantów dających pod każdym względem gwarancyę;

podejmuje się parcelacyi tak większych jak i mniejszych posiadłości na własny rachunek lub też na rachunek komitentów, na bardzo dogodnych warunkach;

ofiaruje, prócz mniejszych posiadłości:

a. wieś obszaru ca. 168 ha. ziemi wyłącznie pszennej i buraczanej ziemi tuż pod Inowrocławiem,

b. wieś rycerską obszaru ca. 275 ha. w powiecie Żnińskim, stacya kolejki w miejscu,

c. wieś obszaru ca. 225 ha. w powiecie Wrzesińskim,

d. wieś rycerską obszaru ca. 175 ha. w powiecie Tucholskim w Pr. Zach.

e. wieś obszaru ca. 275 ha. w powiecie Kwidzyńskim w Pr. Zach.,

poleca swą kasę oszczędności, do której przyjmuje depozyta po $3^1/_2$ do $4^1/_2$% odpowiednio do warunków wypowiedzenia. 367

Zarząd.

Al. Chrzanowski. *Z. Rychłowski.*

Dwóch uczni lub wolontaryuszy

z odpowiedniemi wiadomościami szkólnemi poszukuje od **1. października** rb. do

składu garderoby i artykułów męskich,

który otwieram **w Ostrowie.** 363

Pomocnik biegły do samodzielnego prowadzenia filii **w Ostrzeszowie** może się zgłosić od **15. września rb.**

Leon Górecki, Ostrzeszów (Schildberg i/Posen).

Dla mej znajomej (21 lat), wykształconej panny, bardzo przystojnej, z majątkiem (30 tysięcy) poszukuję

męża

z odpowiedniem stanowiskiem, najchętniej na majątek ziemski. Poważne oferty wraz z fotografią uprasza się: **A. B. C. 103** postlagernd Hohensalza. 346

Ulica Wrocławska 31 (Zielona Apteka)

A. Modzelewicz

336

dawn. dyrektryza w składach bielizny PP. J. Kocheim i H. Dychtowicz w Poznaniu.

Skład i pracownia bielizny damskiej, męzkiej i dziecięcej.

Zarazem polecam **bieliznę stołową, ręczniki, chustki do nosa, kołdry, trykoty, pończochy itd.**

Specyalność: Wyprawki dziecięce.

Sumienne wykonanie. Rzetelny towar. Ceny nizkie.

Znakomita przyszłość dla bławatnika

posiadający gotówki 10—15,000 mk.

Nadarza się sposobność w bardzo ożywionem mieście powiatowem Księstwa nabyć nowy, świetną przyszłość obiecujący, interes bławatny i konf. męzkiej wraz domem położonym w najlepszem handlowem miejscu przynoszącym 8% dochodu. Do posiadłości tej należy piękny ogród i około $4^1/_2$ morgi roli, włącznie $2^1/_4$ morgowego placu budowlanego. Wszystko w najlepszym porządku powiększej części nowe.

Jedynie nieprzewidziane stosunki familijne, są powodem sprzedaży. Oferty proszę przesyłać pod lit. O. E. 343 eksp. „Pracy“. 343

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

1) O własnych siłach.

W izdebce chorej Piaseckiej gwarno bywało chwilami. Pamiętano w całym domu, jak pełna sił i zdrowia zamieszkała z mężem i z małą jasnowłosą dziewczynką.

Pamiętano, jak Piasecki codziennie biegał do biura, ona szyła od świtu do nocy, maleńka zaś Joasia, cicha i potulna, bawiła się na podwórzu z innemi dziećmi.

Pamiętano dobrze, że wszystkie sąsiadki nie tylko dziwiły się, ale gniewało je nawet, że nic o nich usłyszeć, ani powiedzieć nie mogły.

— Mruki jakieś — mówiła praczka Janowa do stróżki. — Ani do ludzi, ani do siebie gęby nie otworzą.

— Ot cicha woda — wzruszyła ramionami stróżka. — Wylezie szydło z worka, aż się wszyscy zadziwią...

— Chodzicie tam do nich? — wtrąciła Janowa.

— Po co? — uśmiechnęła się stróżka. — Komorne płacą jak wielcy panowie — dwa razy zawołać nie trzeba. Pokoik sama wybieliła, on szybkę wprawił. Spokojni lokatorzy i o nic nie krzyczą.

Gdy jednak czas biegł, w izdebce zaś Piaseckich zawsze było równie cicho, jasno i czysto — przyzwyczajono się wreszcie i polubiono ich nawet.

— Nie ma co — uczciwi ludzie, — zwierzała się stróżka do sąsiadek przy studni. — Czy wiecie, że on dzieciaka nie tknie, a przed nią proch zmiata.

— Bajecie! — oburzyła się szewczka Pawłowa. — Gdzie takiego znajdziecie, który przed żoną proch zmiata? W domu krzyk robić, w jadle wybredzać, pięścią grozić! tacy to są mężowie. Tylko drzwi zatrzasnął, już inny. Kaszkiet na bakier, papieros w zęby i mruczy do innych, jak kot do mleka. Nie urodził się dobry i nie urodzi!

— A ja świadkiem, że Piasecki taki, jak stróżka mówi — odezwała się stara Kazimierka. — Przecie już drugi rok mieszkam przez ścianę, a mówię wam, słowa nie słyszałam, ni razu. Cicho zawsze, jak makiem siał. Czasem tylko mała wleci po glonek chleba, albo chuścinę i znowu cicho. Dopiero, jak czwarta nadchodzi, mówię wam cała historya. Ogień huczy pod blachą, łyżki brzęczą, a moja Piasecka raz wraz głowę przez okno wychyla i pyta: Joasia tatusia nie widać? Czasem mówi: nie i znowu się bawi, a czasem wrzaśnie, jak oparzona: tatuś idzie i nuż go w górę prowadzić.

— Ona prowadzi! — uśmiechnęła się złośliwie Pawłowa. — On ją niesie, jakby dwa lata miała. Czy to raz widziałam? Na nic popsuje! A mówi pani, że dobrego nie ma na świecie — śmiała się stróżka.

— Dla dzieciaka tak, dla kobiety nigdy.

— A ja wam mówię dobry i dla niej. Słuchajcie no dalej — przerwała Kazimierka. — Wiecie, co się dzieje, jak do pokoju wchodzi?

— A wy takie oczy macie, że przez drzwi widzicie — roześmiała się Pawłowa.

— Mam takie, jak i wszyscy, boć mnie ten sam Pan Bóg stworzył — oburzyła się Kazimierka. — A że widziałam, to dla tego, że jej trochę mleka na blachę wybiegło i drzwi otworzyła, żeby swąd wyszedł. Przechodziłam, to i widziałam.

— Pani Pawłowa nikomu nie wierzy — mruknęła stróżka.

— Ale tylko wtedy, jak mówić, że kto dobry, — mruknęła milcząca dotąd Marcyna, pomywaczka z cukierni. — Choćbyście i kłamali, prawicie tylko, że każdy hultaj, pijak i babę tłucze, zobaczycie, jak słychać będzie. Mówcie no coście widzieli? — zwróciła się do Kazimierki.

— Powiadam wam, w progu zdjął czapkę, powiedział pochwalonego i rękę do niej wyciągnął. A ona za szyję go pochwyciła i dalejże w usta całować.

— A on co? — pytały ciekawie.

— Drugą ręką do boku przycisnął i także całował. Ośm razy pocałował. Jak tu stoję, widziałam.

— Obraza Boska! — mruknęła Pawłowa i poszła.

Pozostałe z uśmiechem pokiwały głowami, tylko Kazimierka szepnęła:

— Myślicie, że mi jej nie żal? Zazdrość biednej, to i słuchać nie chce. Że obwiesia dostała, to prawda.

— I co to się jeszcze nauganiała za tem szczęściem, — roześmiała się Marcyna. — Byłaby za nim do piekła poszła.

* * *

Przeszło kilka lat i nagle do izdebki Piaseckiej zawitało nieszczęście.

Jednego dnia po południu wrócił Piasecki do domu, ale jakiś nie swój i smutny. Nie tknął obiadu, nie uśmiechnął się do dziewczyny, która mu ręce zarzucała na szyję i zbliżył się do łóżka.

— Położę się trochę, zaraz mi ulży — szeptał do żony. — Tylko ty się nie martw, przejdzie, zdrów będę.

I starał się uśmiechnąć, ale nie mógł, tak mu ból głowę rozsadził. Otuliły go obie i siedziały cichutko przestraszone, niespokojne, powstrzymujące łzy, żeby go czasem nie zmartwić. Wieczorem było gorzej, a nazajutrz nawet nie marzył, żeby mógł podnieść się i iść do pracy.

Wtedy Piasecka zbiegła na dół i po chwili wróciła z doktorem.

— Jeszcze nigdy tak nie chorował — szeptała. — Niech go pan ratuje na miłosierdzie Boże.

Doktór spojrzał, wziął chorego za rękę i do uszu Piaseckiej doszedł jeden wyraz:

— Szpital.

— Nie dam! — powiedziała z uporem i objęła męża rękami.

— Myślałem, że pani mądrzejsza — oburzył się doktór. — Chory ma ospę, zostawić go tutaj, w tym ciasnym kącie, toć śmierć niechybna dla niego, a może i dla was. Jesteś pani matką i tak ci o dziecko chodzi?

Wtedy dwa strumienie łez popłynęły z jej oczu i objęła nagle tę jasną główkę, jakby chcąc bronić przed możliwem nieszczęściem.

— Wreszcie moja pani — dodał doktór — nie sami w domu mieszkacie. O drugich także trzeba pamiętać. Zaraz go do szpitala weźmiemy.

— A jak się zaziębi? — szeptała.

— Ubierzemy, jakby to zima była — uśmiechnął się poczciwy doktór. — Czapkę, korzuch, kalosze włożymy. Jeszcze kołdrę jaką może pani na kolana narzucić. Jak w piecu dojedzie. Da Pan Bóg ospa wyrzuci, zdrów będzie, jak ryba, tylko trochę brzydszy, jak teraz.

A ona objęła mu nogi i tuląc swą biedną głowę do jego kolan, pytała wśród łez:

— Ospa wyrzuci, prawda? Zdrów będzie, prawda! Brzydki, stary, kaleka nawet, aby powrócił.

— Módl się pani — szepnął wzruszony doktór. — Wobec Jego woli nic nasze starania i chęci nie znaczą.

Tymczasem choroba z każdą chwilą rozwijała się bardziej i gdy ułożyli go wreszcie na łóżku szpitalnem, leżał nieruchomy, cichy z zamkniętemi oczami, obojętny na wszystko, co się działo około niego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Maryan Jastrzębiec.

Nim wzejdzie dzień...

Powieść na tle wypadków Królestwa Polskiego 1905 r.

15) (Ciąg dalszy.)

XVI.

Wanda stosownie do przyrzeczenia oczekiwała z bratem nazajutrz u bramy cytadeli na Marychnę. I odtąd nie opuszczała ją na chwilę. Na wielką tę sympatyę składały się trojakie czynniki: najprzód poczucie pewnej wspólności niedoli — wszak obie drżały o los narzeczonych; potem przeświadczenie, że dziewcze to jest obdarzane serdecznem uczuciem przez ukochanego brata, wreszcie świadomość, że cierpiała i cierpi przez niego. Do tych uczuć domieszał się podziw, jaki jej nawskroś estetyczna natura odczuła wobec niezwykłej urody Marychny; wreszcie możność zajęcia się nią i dania opieki. Wanda jako najmłodsza z rodziny, trochę słabowita i bardzo uczuciowa, była od dzieciństwa przedmiotem nieustannej troskliwości, obserwacyi i pieszczot. Kobieta „w każdym calu" pragnęła innym oddawać to, czego doznawała od swego otoczenia, dlatego przygarniała i zajmowała się chętnie dziećmi i chorymi. W tym wypadku znalazła się po raz pierwszy wobec dramatu, którego bohaterkę mogła dźwignąć duchowo, broniąc od rozpaczy. Ona to przygotowała Marychnę do bolesnej wiadomości o śmierci ojca, ona zakomunikowała ją wśród pieszczot i słów serdecznych, ona szła obok niej za trumną i płakała z nią razem nad grobem. Instynkt jej dziewczęcy dyktował jej najbardziej pocieszające słowa; ciągle zwracanie myśli ku przyszłemu szczęściu Marychny przy boku Tadeusza i wśród kochającej ją rodziny.

Pani Orczyńska, z natury zazdrosna o dzieci, przygotowała z góry chłodne — uprzejme słowa powitania, ale gdy to śliczne dziewcze we łzach przyprowadziła do niej Wanda, została podbitą jej wdziękiem i niedolą, uściskała serdecznie, prosząc, aby od tej chwili nazywała ją matką i jak do takiej się odnosiła.

W takich warunkach łatwiej przyszło Marychnie przenieść cios śmierci ojca. Nie była chwili samą; Aniela i Wanda wydzierały ją sobie wzajemnie, chłopcy przesadzali się w uprzejmościach i przysługach.

Po powrocie z pogrzebu Artur poprosił kolegę swego Eugeniusza o kilka słów rozmowy sam na sam.

Udali się do gabinetu, który Artur zamknął na klucz. Gienio miał ochotę zażartować na temat obawy, że przyjaciel ma zamiar zabić go, ale posępna twarz Artura miała w tej chwili tyle tragizmu w sobie, że żart zamarł na jego ustach. Przez kilka minut chodził Artur po gabinecie, potem rzucił się na krzesło i kładąc dłoń na ręku przyjaciela, szepnął:

— Gienku, daj mi słowo honoru, że to co ci teraz powiem pozostanie pomiędzy nami, że nie powiesz o tem nikomu, przynajmniej dopóki ja żyję.

— Daję ci słowo.

— Nigdym się na tobie nie zawiódł, więc i teraz spokojny o to jestem.

Oczy przysłonił ręką, posiedział chwilę skupiony, a potem, wyprostowując się nagle, rzekł stanowczym tonem:

— Ja muszę zginąć.

Gienio porwał się z miejsca.

— Co? co mówisz? amerykański pojedynek?

— Nie!... Muszę zginąć, mam bowiem spełnić coś, poczem lepiej, żebym nie żył, zamiast wpaść w ręce......

Gienio zmienioną twarz zbliżył do niego.

— Zabójstwo, — szepnął.

— Tak.

— Więc ty należysz......

— O nie, nie należę do partyi terrorystycznej. Zabójstwo, które popełnię ma na widoku oswobodzenie nie społeczeństwo, ale najukochańszą mi istotę od niebezpiecznego osobnika, który stałby się nieszczęściem całego jej życia.

— Mów jaśniej.

— Czy wiesz komu zawdzięcza Marychna swoje dostanie się do cytadeli? Oto owemu oficerowi żandarmskiemu, który robił rewizyę u Tadzia. Wpadła mu w oko i zapragnął jej. Jeżeli nie nadużył swego położenia nad samotną i bezbronną dziewczyną w celi więziennej, to dlatego, że musiał już mieć w życiu z tego powodu jakieś dramatyczne przejście. Wspomniał mi o tem coś niecoś. Wobec więc Marychny postanowił postąpić wspaniałomyślnie, postarać się tylko o zesłanie jej drogą administracyjną do Permy, aby tam rozkochać ją i poślubić.

— Skąd ty wiesz o tem?

— Sam mi to raczył zakomunikować.

— Po co? przecież mógł wiedzieć, że w ten sposób wytrąca z rąk własnych atuty!

— Szło mu o to, żebym dał mu słowo, że niebędę odradzał Marychnie, gdy mi się zwierzy ze swej chęci wyjścia za niego, za Zubczyka!...

— I ty się do tego stopnia krępujesz słowem danem takiemu łotrowi, że chcesz...

— Ah, nie o to idzie! Najprzód Marychna nigdy by się nie radziła mnie w takiej sprawie, bo tego rodzaju propozycyę odrzuciłaby ze wstrętem, ale idzie o fakt sam w sobie; jeżeli ten człowiek żyć będzie, to Marychna nie uniknie tej zsyłki, ze wszystkiemi jej okropnościami, potęgowanemi miłosnemi zabiegami tego człowieka. Wyobraź sobie, wyobraź tę dziewczynę samą, na obczyźnie i to zwierze, takie zawzięte, takie bydlęce w swojem miłosnem pragnieniu. Przecież to się stać nie może! nie może!

— Ale, żebyś dlatego ty miał ginąć!...

— Nie ma innego wyjścia.

— Może udałoby się Marychnę ukryć.

— Wynajdzie ją! O to zawzięta bestya! A wtedy jakiem byłoby życie tej dziewczyny? Przecież ona brzydzi się tym człowiekiem... kocha innego! Ona wpadłaby w suchoty, tak jak matka, albo popełniła samobójstwo w przystępie rozpaczy.

— Boże, Boże! chłopcze zastanów się, umrzeć w twoim wieku, kiedy całe życie przed tobą!

— Jakie życie!... To śmieszne powiedzieć, ale ja wierzę, że są ludzie, co się rodzą pod złą gwiazdą, Niemcy nazywają to pech!... Ja nigdy nie byłem szczęśliwy. Pamiętasz tę moją fotografię z dziecinnych lat, tę w krakowskiem ubraniu, co stała na biurku ojca, śmiałeś się raz, że wyglądam jak kosynier po klęsce Maciejowickiej. Mam rozpacz w twarzy; tę rozpacz miałem na dnie duszy od

urodzenia; połajanie matki, zły stopień, docinek kolegi, wszystko to było dla mnie racyą do rozpaczy, bo ona była we mnie i podrażniona wypełzała przy każdej okazyi. A teraz wyobraź sobie moje życie w razie zesłania Marychny! Ty nie wiesz, jak ja ją kocham! Ja jestem krańcowy we wszystkiem, w każdem uczuciu. Żebym miał zostawić ją w tem strasznem położeniu, bez opieki! I tą myśl: ty jeden mogłeś ją uratować, a nie zrobiłeś tego. Ja bym zwaryował. I nie wesołą byłaby moja waryacya! nie!

— Więc pojedź z nią, będzie miała opiekę.

— Zubczyk postara się zaraz o przetranslokowanie mnie.

Gienio ręce załamał. Przez chwilę siedzieli przygnębieni i bezradni.

— Ależ Arturze, jeżeli musisz go zabić, to jeszcze nie racya, żebyś i ty miał zaraz zginąć, urządź się tak...

— Urządź się tak!... Przedewszystkiem muszę myśleć o tem, żeby go dobrze zabić! To nie rzucenie bomby dla postrachu, trafi, nie trafi! Ja muszę trafić! muszę wpakować mu kilka kul aby nie wstał, żeby położyć los jego zabiegom. Czy w takich warunkach zdołam uciec, wątpię, a gdyby mnie brali *in flagranti*, to przecież lepiej zginąć.

— Ach, Arturze, Arturze!

Gienio przygarnął go do siebie, przycisnął usta jego do czoła i łzy jak grad puściły się po jego obliczu.

— Oj ty, ty, mimozo męska — rzekł miękko Artur, czując te ciepłe łzy spadające na czoło. — Widzisz ja nie płaczę! Jak Boga kocham nie żal mi życia, a nawet mi słodko, gdy pomyślę, że moja śmierć uczyni ją szczęśliwą. Pamiętasz, jakeśmy studyowali Ewangelię Spirytystów Allana Kardeka? Tobie nie trafiała ona do przekonania, mnie oczarowała, jako ostatni wyraz sprawiedliwości. Dzieci nie pokutują za winy ojców, ale za winy własne, popełnione w poprzedniem życiu! Otóż ja wierzę, że w poprzedniej inkarnacyi musiałem być lekkoduchem, który siał nieszczęścia wokoło siebie swoją egoistyczną pustotą, za to teraz urodziłem się hipochondrykiem i to mnie ssie i zabija. A w następnem życiu za to, żem w mej hipochondryi nie zadręczał jednak drugich, żem zdobył się na optymizm czynu opartego na wierze, że ofiara moja nie będzie bezcelową, odrodzę się znowu jako szczęśliwe dziecko kochających się ludzi, może Marychny, albo tej twojej uroczej siostry! I wierzę, że w chwili zgonu będę miał jasnowidzenie tego przyszłego życia, które wejrzy na mnie promiennemi oczyma i rzuci mi w duszę snop światła, co mi przyszłą egzystencyę ozłoci... Ot i teraz mam coś jak przejaw tego odrodzenia, jakaś nieznana słodycz w mej duszy się rodzi, tak mi dobrze, słodko w tem twojem objęciu, przyjacielu, z temi łzami, co mi twarz roszą, jestem jak szczęśliwe dziecko, które matka tuli.

Długo siedzieli przygarnięci do siebie, skupieni, w jakimś serdecznym nastroju. Nagle Artur podniósł się, odgarnął włosy z czoła i rzekł spokojnym głosem:

— Powiedziałby kto, że jestem dureń, że tego rodzaju tajemnicę zwierzam tobie. O zabójstwie powinni tylko wiedzieć wspólnicy, ja zaś w tym wypadku wystarczę sobie. Jeżeli jednak mówię o tem, to dla tego, że chcę przy tym ogniu i drugą pieczeń upiec... Masz charakter pisma bardzo podobny do Tadeusza. Otóż weź arkusz listowego papieru i pisz, co ci podyktuję.

Genio zabrał się do pisania, Artur dyktował gładko, jakby dawno ułożył sobie treść tego listu:

„Kochany Arturze, twoją konferencyą przepisałem, nie godzę się z nią, ale to już twoja rzecz, proklamacye zachowam, póki...

Gienio pióro odrzucił.

— Co to znaczy? Objaśnij mnie wprzód, niech wiem co i w jakim celu piszę.

— I mówią o tobie, żeś inteligentny!... Przecież to jasne jak słońce! Po śmierci mnie obszukają, znajdą więc w kieszeni list Tadzia, z którego się dowiedzą, że ja byłem autorem tej konferencyi i właścicielem proklamacyi, które znaleziono u niego, co jeżeli nie uniewinni zupełnie, to przynajmniej znacznie zmniejszy przestępstwo Tadzia i umożliwi mu szybkie wydostanie się z Cytadeli.

— Ależ on takiej ofiary by nie przyjął!

— Co za ofiarę!... Przecież nie zabiją mnie po raz drugi.

— A jeżeli uniemożliwią ci samobójstwo? jeżeli cię wezmą?

— To i tak kwestya jakiejś konferencyi czy proklamacyi będzie niczem wobec zabójstwa żandarma. I ręczę ci nie zaciąży w akcie oskarżenia.

— Boże, Boże, jak postąpić!...

— Pisz, pisz, nie rób głupstw... Na czem się zatrzymaliśmy?... proklamacye zachowam, póki''... aha „póki ich nie odbierzesz. Jesteś dobry kolega, więc robię to dla ciebie, choć nie mogę nie zaznaczyć, że głupstwo robisz''...

— Jakżeż tak się zapierać własnych przekonań. „Bądźmy niewinni jak gołębie, a chytrzy jako węże.....“

— Dzięki temu prędzej powróci do warsztatu.

— Ah, jak to wszystko jest mi ciężkiem do spełnienia!....

— Wola umierającego jest świętą.

— Jakżeż ja mogę przyjąć taką ofiarę dla mojego brata.

— Bo tu idzie o szczęście mojej siostry!... Pisz... Dodaj już tylko: „pamiętaj bądź dziś wieczór u mnie z siostrą, będę rad jeśli weźmiesz wtedy z sobą te bibuły.“ Podpisywać nie potrzebujesz, zresztą umieść literę T. Takie dokumenty się nie podpisują. Pokaż. Jak Boga kocham choć położą obok pisma Tadzia, nie odróżnią charakteru. No to bardzo pięknie. A teraz na serce z tem.

Za drzwiami rozległy się kroki, ktoś położył rękę na klamce.

— Genio, Arturze, czyście tam? — odezwał się głos Witolda.

— Jesteśmy.

— Cóż się tak zamykacie? Panie was wzywają.

— Idziemy, idziemy, — odezwał się donośnym głosem Artur, a wstając pogłaskał po twarzy Gienia i rzekł z uśmiechem:

— Ave Caesar!

Wszedł do salonu.

— Gdzieżeś ty się podziewał, Arturku? zawołała Marychna.

Siadł przy niej, otoczył ją ramieniem i przygarnął do siebie.

— No, no, co to za czułości niezwykłe, uśmiechnęła się panienka, całując brata.

— A wie pan, cośmy tu uradzili? odezwała się Wanda.

— Ciekawym.

— Oto, że jutro rano zabieramy Marychnę i odjeżdżamy razem z ciocią Zosią i Jasiem. Mama czas jakiś zostanie w Warszawie ze względu na Tadzia.

— Jak to dobrze, jakże się cieszę z tego projektu i wdzięczny jestem państwu niepomiernie, bo tak się kłopotałem, co będzie z Marychną, co zrobi sama, gdyż ja jutro muszę wyjechać na pewien czas.

— Ty?

— A tak.

— A to gdzie?

— Wysyłają mnie za granicę w celach pewnej agitacyi.

— Ciebie? doprawdy?

— Tak; spotyka mnie ten zaszczyt.

— No, no, gotowam być dumną z ciebie.

— I gotowaś mnie więcej pokochać.

— A czyż cię niedość kocham? To ty tylko najczęściej jesteś jak ten oset, nie dasz się ani pocałować, ani się popieścić.

— Nie w tem objawia się miłość..... Kiedyś dowiesz się, jak bardzo cię kochałem.....

Zapanowało chwilowe milczenie, jakby anioł przeleciał zabrać to pierwsze i jedyne słowo „kochałem'', jakie usta młodego chłopca wyrzuciły w swem życiu.

— Wie pan co, panie Arturze, odezwała się znów Wanda, gdy pan załatwi się ze swą misyą, niech pan przyjeżdża wprost do nas. Strejk szkolny uchwalony, w Warszawie nie będzie pan miał co robić, a zostać tak samemu na pastwę nudy i smutnych myśli!... Pan zdaje się z natury nie jest wesoły.

— Nie, pani!

— My pana rozruszamy, jak weźmiemy w obroty. Pan nie ma pojęcia jak my dokazujemy, gdy się zjedziemy z chłopcami, a i Marychna nam dopomoże. Przedewszystkiem będzie się pan razem z nimi uczył waszych szkolnych mądrości. Jaś będzie pana przyuczał gospodarstwa, bo mnie się zdaje, że ludzie smutni nie powinni się nigdy osiedlać w miastach, gdzie mają często do czynienia ze złymi ludźmi, ale na wsi wśród przyrody i ludzi nie zepsutych.....

— Ma pani wielką racyą.

— Dalej Marychna i ja będziemy uczyły pana wiary w życie, w ludzi i w siebie samego. Dowiedziemy panu, że świat bywa piękny i dobry!

— O tak, zawołał ze szczerem przeświadczeniem Artur, gdy się patrzy na istoty takie jak pani!....

Urwał zmieszany.

— Oho, Arturek zaczyna mi się puszczać na komplementa, — zaśmiała się Marychna.

Wandzia podniosła się zmieszana.

— Zagram wam, albo co.....

Siadła do fortepianu, z pod biegłych jej paluszków wybiegła cudna, natchniona „pieśń Izoldy.'' Artur stanął naprzeciw niej, oparł się o fortepian i brał w siebie ten nastrój dotąd mu zupełnie obcy. W atmosferze eleganckiego salonu, wśród ciepła, woni, w otoczeniu ludzi serdecznych, wesołych, czuł, że mu dusza rozpływa się w jakiemś nieznanem dotąd uczuciu harmonii i szczęścia. I brał w duszę obraz tego dziewczęcia, słodkiego, ładnego, które patrzało na niego mile i poczciwie i brał w duszę tę melodyę boską i nagle poczuł budzące się pragnienie pozostania tak długo, lata całe.

I zapragnął żyć, żyć, wśród nich i dla nich. Ale powoli przychodziła refleksya; czem będzie w tem otoczeniu? czem będzie dla tej dziewczyny, której oczy zamglone w tej chwili świadczą, że pod jego gorącemi spojrzeniami dusza jej pobiegła w odległe kraje do ukochanego. I czem będzie wśród nich, gdy siostrę wywiozą na mękę, może na hańbę! Ukrył twarz w dłonie, oczy miał suche, ale dusza mu płakała krwawemi łzami nad smutną dolą dziecka „z pod czarnej gwiazdy''.

Muzyka się urwała. Jakaś mała, ciepła rączka wsunęła mu się pod ramię.

— Zdenerwował pana Wagner; pójdźmy do Anielki pokoju, zasiądziemy sobie gromadką przy kominku i porozmawiamy o tem, jak nam kiedyś dobrze będzie.

Pocałował ją w rękę i rzekł z prostotą:

— Oby wam dobrze było.

XVII.

Wczesny wieczór styczniowy zapadał szybko. W smutnem, ciemnem mieszkanku, z którego przed dwoma dniami wyniesiono ciało Życkiego, Artur chodził jak lew po klatce. Od rana oczekiwał Zubczyka, a z nim popełnienia zabójstwa i samobójstwa. Oczekiwanie to denerwowało go do najwyższego stopnia. Od rana też nie jadł, pijąc nieustannie czarną kawę, którą gotował na maszynce. Były chwile, w których czuł w sobie nadludzką prawie energię lecz przychodziły i momenta upadku ducha tak wielkiego że chciał uciekać, rzucić się w Wisłę, zastrzelić, byle uniknąć konieczności przejścia wstrząsającego dramatu. Z wysiłkiem coraz większym uprzytomniał sobie możliwość zsyłki Marychny i mających wyniknąć stąd konsekwencyi, aby pobudzać w sobie stygnącą energią. Odurzonemu kawą i papierosami coraz częściej stawała przed oczami wdzięczna postać Wandy i słodkie obrazy życia w przyszłości, cichego, sielankowego, jakie przed nim malowała, gdy wówczas po muzyce zasiedli przed kominkiem w pokoju Anieli. — Były to dziwnie słodkie godziny. Marychna siedziała przy nim, tuląc go do siebie, Wanda naprzeciwko, na niskiej ławeczce, zarumieniona płomieniem kominka, rozszczebiotana, trochę nienaturalnie wesoła, bo zdobywająca się na humor dla rozweselenia gości, a taka dobra, taka serdeczna. Gienio chodził po pokoju, chwilami przystając i patrząc mu w oczy z serdeczną rozpaczą. Wchodziło też starsze towarzystwo, z lubością obejmując ich grono; dokazywał Witold, sprzeciwiając się panienkom i dowcipkując tak, że wszystkich rozbawiał. I myślał Artur, że takich wieczorów mogłyby być serye całe i dać mu wreszcie w życiu sumę miłych wrażeń, należnych przecie każdemu. W takich chwilach omglewał formalnie, rzucał się na kolana przed obrazem Matki Boskiej, błagając, by odsunęła od niego konieczność tej tragedyi. Ale, gdy zadawszy gwałt swej wyobraźni, wyrzucał z tego słodkiego obrazu postać Marychny, gdy wtłaczał w mózg poczucie złamanego życia siostry przez jego małoduszność, ogarniało go pragnienie pospiesznego rozstrzygnięcia swego opłakanego losu.

W takiej to chwili rozległ się dzwonek w przedpokoju. Artur instynktownie namacał rewolwer w kieszeni, przeżegnał się i nasłuchiwał z zapartym oddechem.

Tomaszowa otworzyła.

— Jest panna Marya? — odezwał się znany mu już, aż w głąb duszy zaszyty, wraży głos.

— Nie, wcale tu nie wracała.

— A gdzież jest?

— U tych państwa z Marszałkowskiej.

— U jakich państwa?

— Albo ja wiem, jak oni się tam nazywają; ten pan jest inżynier.

— Pod którym numerem?

— Bo ja wiem!

— A młody pan jest?

— Jest tam w pokoju.

— Poprosić go tu.

— Panicz mówił, żeby pana wprowadzić do pokoju, gdy przyjdzie.

— Ja tu zaczekam, poproście panicza.

Blady jak ściana wszedł Artur. Żandarm podał mu rękę; młodzieniec ścisnął ją gorączkowo.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dwudziestoośmioletnie wygnanie
czyli
ucieczka moja z żoną i dwojgiem dzieci.
Zdarzenie prawdziwe z 1835 r.

21)

(Ciąg dalszy.)

Jakkolwiek czułem, że tracąc ją, tracę wszystko na ziemi, z całą jednak siłą i potęgą umysłu, starałem się niepokazywać wewnętrznej boleści mojej, i przy jej łożu z wypogodzonem czołem stawałem.

Lecz gdy 15-go czerwca 1843 roku zobaczyłem ją w dwudziestej piątej wiośnie życia na rękach moich, księdza Boguńskiego i doktora Antoniego Beaupree, (współwygnańców) konającą, a następnie martwą, zdawało mi się, że mi serce i duszę wyrwali, tak ją mocno kochałem!

Jako chrześcijanin, prawie cieszyłem się, że ta czysta dusza odpocznie nakoniec na łonie dobrego Ojca, lecz jako człowiekowi, mężowi i ojcu, zrobiło mi się za Bajkałem tak ciasno, jak Antyjochowi bez Weroniki na Wschodzie.

Śmierć tej nieszczęśliwej kobiety była lekką i spokojną, suchoty oszczędziły jej okropnych mąk konania, i nie zmieniając jej łagodnej twarzy, otworzyły tej wielkiej duszy, godnej łaski nieba, łaskawą ręką bramy wieczności. Bóg zapewne to rozkazał dla tego, aby wspomnienie jej pobożnej śmierci, zostało wyryte w wspomnieniach tych ludzi, którzy nie lękając się ostatecznego sądu, zobaczą, że przejście z jednego do drugiego życia, nie jest tak trudnem, jak się wydaje.

W niebytności plebana za-bajkalskiego, księdza Filipowicza, objeżdżającego podówczas obszerną parafię, ksiądz Boguński oddał zmarłej ostatnią przysługę, obrzędem i uczuciem kapłańskiem, acz nie w kapłańskim stroju, a cicha łza współczucia niemałego grona współwygnańców, odprowadziła jej zwłoki na cmentarz.

Oto jest żywot kobiety, która nie wychodząc za obręb domowego życia, jej płci podobno najwłaściwszy, uczuciom żony i matki, wpisała imię swoje w poczet najzacniejszych Polek! — Nie wiele więcej, jak w rok po jej zgonie, poszedł za nią i osierociały Konrad. Mogiłę nad niemi, ręką osieroconego męża i ojca, sam wzniosłem, i przez lat kilkanaście przystrajałem każdej wiosny w kwiaty krajowe! Mogiłę! ukrywającą zwłoki matki i syna! mogiłę dobrowolnej wygnanki — pierwszej Polki! zagnanej do Nerczyńska, miłością i świętością wypływających z niej obowiązków! mogiłę nakoniec, którą i sobie przygotowałem!

O! jak na plany człowieka nic liczyć nie można! My naprzykład mieszkając w niewoli, uwoziliśmy dzieci nasze, ażeby obok innych powodów, w grobie familijnym je pochować, gdzie i sami spocząć zamierzaliśmy, gdy tymczasem, jakby na przekorę naszym zamiarom, dwoje z nich pochowano w Saratowie, jedno w Uralsku, żonę z synem w Nerczyńsku, a mię? Bóg jeszcze wie gdzie położą.

Na tem tymczasem postanowiłem ukończyć moje opowiadanie. Zbyt jestem rozczulony, ażebym pochowawszy najlepszą żonę i opisując to, mógł pisać dalej; i chociaż ja, po jej zgonie, blisko lat ośmnaście mieszkałem w Syberyi, zbyt świeże są przykłady zarządu wschodnią Syberyą hrabiego Amurskiego, i nadto jest delikatna materya, opisywać osoby, wpływ na mój los mieć mogące, ażebym to teraz mógł zrobić, lecz za powrotem do kraju, z całą rzetelnością i prawdą, jak dotąd, nie omieszkam oddać każdemu to, co się komu należeć będzie, i na co który zasłużył.

Pisałem w Irkucku, na początku marca 1859 r.

Zakończenie.

Gdy nie potrzeba zadowolenia czytelnika, mającego prawo wymagać rachunku z osób, tą powieścią objętych, powinienbym na tem zakończyć moje opowiadanie; bo kiedy straciliśmy z oczu główną heroinę tego zdarzenia, to cóż wam powiem o sobie, co by choć w części mogło być zajmujące, albo ciekawe. Opiszę wam chyba następujące wrażania, jakich doznałem.

Oto patrzyłem i ubolewałem nad ludźmi, którym zbrodnicza ręka, zawarłszy prawo natury, w sercu zakreślone, zrobiła z nich wyrzutków społeczeństwa, i w ciemnych lochach zmusiła bić młotem kruszcowe pokłady, które jak żyły krążą w łonie ziemi, a wydobyte na powierzchnią, topnieją w hutach bladym i straszliwym, jakby gorejącego piekła płomieniem. Te to straszne ogniska, oświecają blade, dzikie i ponure niewolnicze twarze, robią ich chodzącemi trupami. I tacy to są właśnie prości przestępcy, za rozmaite zbrodnie tu w katorżne roboty zesłani.

Cóż wam powiem o kraju, gdzie słońce jakby tumanem zasłonięte, rzuca niechętne i ukośne światło, a moc jego promieni jest tak słabą, że zamarzniętą ziemię na warstwę zaledwie do dwóch łokci dochodzącą, odtapia; ztąd to bez względu na szumiące gaje, brzozowe, cedrowe i modrzewiowe lasy, słowik się nie odzywa, bo mu brak dąbrowy, a kwiat polowy, chociaż i nadzwyczaj piękny, nie ma naszego zapachu.

Cóż wam wreszcie powiem o kraju, gdzie wzrok człowieka, błądząc w labiryncie gór, dolin i lasów, nic nie widzi, prócz rzadkich i ponurych wiosek, lub ze zwiniętym namiotem, szukającego dla swego bydła żyźniejszej ziemi, Tunguza.

Cóż wam nakoniec powiem o kraju, gdzie głos i ojczysta mowa wygnańca Polaka napróżno obija się o góry i skały, gibraltowym podobne, a nocną porą okó jego odmienne tylko niebo i gwiazdy spostrzega; i cóż wam dziś powiem? oto powiem wam, że to są „Nerczyńskie kopalnie", że to jest Sybir — dolina płaczu, i obszerne więzienie, któremu tylko drzwi piekielnych i napisu na nich Dantego brakuje.

W tym to Sybirze, ja teraz powtórnie osierociały, prowadziłem jak klepsydra monotonne, przez lat siedmnaście niczem nie pocieszone życie; długo i bardzo długo myślałem z początku o zmarłej żonie, i tak o straconym marzyłem szczęściu, jak marzy żeglarz o rozbitej łodzi, niegdyś majestatycznie i szparko po morzu płynącej... Moje fantastyczne myśli zmięszane były z żalem i rozkoszą. Nieraz, wspominając Albinę, uśmiechałem się, a zapomniawszy o jej skonie, upatrywałem dla niej wieniec chwały i świetny los w przyszłości; ale gdym wejrzał na smutną rzeczywistość, i na moje sieroctwo popatrzałem, twarz moja przybierała wyraz dzikiej rozpaczy, i w takiej to zabijającej apatyi zostawałem po kilka godzin, nie słysząc głosu ludzi, i nie widząc ich nawet około mnie się wijących. Ocknięty wreszcie jakby z letargu, ze smutkiem rozmyślałem o niesprawiedliwości, ludzkość dotykającej. Dla czego — myślałem — nędzarz w ubogiej chatce, wita wschodzące słońce z goryczą i łzami, gdy tymczasem bogacz wita je z uśmiechem i widokiem nowego szczęścia? Czyż oni nie są ludźmi i dziećmi jednego Boga? czyż słońce nie powinno ich witać zarówno, i jednem uczuciem napełniać? Ale Bóg w swych wyrokach niezbadany, tak samo prawie i całą naturą rozporządził; tu bowiem błoga wiosna pozłaca kwieciste równiny, gdy tymczasem, tam daleko! daleko... w tymże samym czasie, śnieg spadający pochyloną i pożółkłą trawę przygniata.

Uspokoiwszy się cokolwiek, pierwszym moim obowiązkiem było napisać do rodzeństwa ś. p. Albiny list, w którym donosząc im o śmierci matki i syna, zrzekłem się po niej wszelkiej sukcesyi. Póki żył Konrad, nie miałem prawa ogałacać go z daru, jaki mu matka pod firmą moją przeznaczyła, ale gdy ten żyć przestał, sumienie moje zabroniło mi z jej testamentu, na imię moje zrobionego, korzystać; najboleśniej mi to jednak było, że list ten w języku moskiewskim napisać byłem zmuszony. Co oni tam o mnie pomyśleli? Bogu to tylko wiadomo. Że zaś nie odebrałem od nich najmniejszej wiadomości, byłem zbyt dumny, ażebym z niezasłużonego zarzutu, jakobym zapomniał ojczystej mowy, miał się tłómaczyć.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dla milionów.

Powieść tłumaczona z francuskiego przez M. P.

36) (Ciąg dalszy.)

— Gdy mnie Robert wezwał, przybyłem tu natychmiast i dowiedziałem się od niego, że Norze dał się bardzo źle we znaki pobyt w więzieniu. Zapada często na nerwy, straciła sen i apetyt i stała się zupełnie apatyczną. Pani Beaumont sprowadziła lekarza, który jej zapisał proszki — ma je zażywać co drugi dzień przed udaniem się na spoczynek, i kazano Robertowi chodzić po nie do apteki. Przy tej sposobności dowiedział się Robert, że aptekarz potrzebuje pomocnika i ułożył od razu plan prawdziwie genialny. Powiedział aptekarzowi, że zna w Paryżu pewnego studenta medycyny, który chce zwiedzić Szwajcaryą, i który chętnie przyjąłby na pewien czas miejsce pomocnika u niego, bezpłatnie. Ponieważ aptekarz niezmiernie jest skąpy, przeto zgodził się zaraz na wszystkie warunki, i tak tedy jestem tutaj, jak widzisz.

— I cóż dalej? — spytała Lola bez tchu prawie.

— Co dalej? Teraz dopiero powiedział mi Robert, do czego mnie potrzebuje. Otóż kazał mi wyszukać w aptece trucizny, która zabija zwolna, nie zostawiając po sobie żadnego śladu. Podzielił ją na 25 części, a ja będę ją mieszał z proszkami, zapisanemi twej siostrze przez lekarza tutejszego. Rozumiesz?

— O Boże! — jękła Lola, ocierając zimny pot z czoła.

— Bardzo to jasne, nie prawda? Nora zażyła już dziesięć takich proszków, po dwóch tygodniach, gdy weźmie jeszcze 14 lub 15, umrze! Proszki, które zapisał lekarz, są zupełnie niewinne, ale teraz...

— Ach, to okropne, — zawołała Lola, drżąc cała z przerażenia.

— Zawsze jesteś taka czuła? — szydził Alfons. — Mówiłaś przecież przed chwilą, że ci tak pilno z usunięciem Nory......

— Tak, ale takie długie męczarnie, to rzecz straszna! Czemu ona ma cierpieć tak długo jeszcze? Nie możnaby skończyć od razu?

— Aby wzbudzić podejrzenie? Żeby wszyscy poznali, że została otrutą? Pewnie zmysły straciłaś?

— Ale to jest okropne, męczyć ją tak długo!

— Uspokój się, ona nie cierpi nic! Trucizna ta odbiera jej tylko siły i zabija zwolna tak jak naprzykład suchoty. Nora zgaśnie pewnego dnia jak lampa, w której już nie ma oleju. Nie skarży się na żadne boleści i lekarz nie wiedząc, co jej właściwie dolega, zapisuje zwykle proszki na uspokojenie nerwów. Gdyby jednak hrabina Beaumont miała wezwać innego lekarza lub kazać przypadkiem przynosić proszki z innej apteki, wtedy domiesza Robert sam podwójną do nich dozę trucizny i pomocy żadnej dla niej już nie będzie!

ROZDZIAŁ 11.

Posiadłość hrabiny Beaumont była prawdziwie wielkopańską siedzibą. Pałac, otoczony rozległym parkiem, wznosił się na wysokim pagórku, a z okien jego roztaczał się niezrównanie piękny widok na jezioro i na góry, których szczyty, śniegiem wiecznym pokryte, odbijały wspaniale od błękitu nieba południowego. Otoczona najserdeczniejszą opieką i troskliwością, znalazła Nora spokój i pociechę po tylu bolesnych przejściach i walkach. W pierwszych dniach swego pobytu tutaj była po prostu oczarowana wzniosłą pięknością otaczającej ją przyrody i świeżem, wonnem powietrzem, a dobroć hrabiny Beaumont i czuła przyjaźń Helenki wzruszała ją do głębi serca. Przyzwyczajona do sztywnych form towarzyskich w Paryżu, używała tu swobody i wolności wiejskiej w całej pełni — nie potrzebowała się już lękać ani surowych napomnień pana Nivela, ani zastósowywać się do reguł klasztornych — nikt tu nie ograniczał jej woli i życzeń. W niedalekiej przyszłości oczekiwało ją szczęście połączenia się z ukochanym, czegóż zatem więcej miała pragnąć?

Ale tęsknota za Lucyanem męczyła ją niezmiernie. Daremnie usiłowała pocieszać się myślą, że rok prędko minie i, że każdy ubiegły dzień zbliża ich do siebie, ale czy rozum zdoła przytłumić głos serca?

Na domiar złego zaczął się teraz objawiać szkodliwy wpływ, jaki pobyt w więzieniu i zmartwienie wywarły na jej zdrowie. Przebyte wzruszenia wywołały zupełne rozprężenie nerwów — straciła apetyt i sen i była tak słabą, że pani Beaumont uznała za konieczne przywołać lekarza.

Nora nie chciała się na to zgodzić, w końcu jednak uległa prośbom swej przyjaciółki. Lekarz oświadczył, że ma początki blednicy, zapisał trochę żelaza, jakiś niewinny proszek na sen i zapewnił, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa i że za kilka tygodni wszystko będzie dobrze.

Proszków tych użył Robert do wykonania swych szatańskich zamiarów i wszystko zdawało się mu je ułatwiać. Proszki przyrządzone były w aptece, której właściel znany był jako człowiek nieposzlakowanej uczciwości i który je zwykle sam mieszał, oddając je pomocnikowi tylko do ułożenia w papierki. Z tego to korzystał Alfons. W papierkach była już przygotowana trucizna, nikt więc nie mógł go podejrzywać o popełnienie tej zbrodni. Zresztą wybrał on taką truciznę, która działała wolno, nie pozostawiając żadnych po sobie śladów. Nora stawała się coraz słabszą, lecz nie skarżyła na nic. Nie czuła ani bólu, ani mdłości, — traciła tylko z każdym dniem siły i nic prawie nie jadła. W nocy sypiała wprawdzie, lecz miała sny tak okropne, że budziła się potm zlana i słabsza, jak gdyby wcale nie była spała.

Hrabina Beaumont niepokoiła się bardzo chorobą Nory, lecz doktor twierdził ciągle, że to nic nie jest złego.

— Blednica, nic więcej, — mówił stanowczo. — Proszę tylko zażywać dalej proszki, pić mocne wino i jeść pożywne potrawy.

Wszystkie jego polecenia wykonywano sumiennie, ale siły chorej upadały coraz to więcej. Helenka była w rozpaczy, nie znając bowiem przyczyny choroby, widziała, że Nora umiera zwolna. I nie mogąc już dłużej znieść tej męki, prosiła Nory o pozwolenie przywołania Lucyana.

— On jest doskonałym lekarzem i kocha cię, — mówiła, — wiemy, że nie jesteś niebezpiecznie chorą, ale obecność Lucyana doda ci siły. Twoje cierpienia są głównie wynikiem tęsknoty, chociaż nie chcesz się do tego przyznać — rok żałoby zbliża się do końca — jesteśmy daleko od Paryża, nikt was tu nie zna — pozwól mi napisać do niego, aby przybył! On musi cię leczyć!

— Ach nie, — szepnęła Nora, — jestem teraz taka blada i brzydka! Nie chcę, aby mnie taką widział! Później, gdy mi będzie lepiej, jeżeli w ogóle wyzdrowieję...... — dodała ciszej.

— Co ty mówisz? — zawołała Helenka przerażona.

— Nic, nic, chociaż...... wiesz, mnie się zdaje, że ja go w tem życiu już nie zobaczę!

I z głośnym płaczem ukryła twarz w poduszkach.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Połączenie telefoniczne Nr. 25.

Adres telegramów: L. ZBORALSKI PLESCHEN.

Adres listów: L. Zboralski, Pleszew-Pleschen.

L. Zboralski

Pleszew — (Pleschen.)

Hurtowny handel win założony w roku 1853

poleca znane ze swej dobroci, renomowane

wina górnowęgierskie

z lat najlepszych, w różnych odcieniach, począwszy od **Mk. 1,40** za litr w beczce aż do gatunków najszlachetniejszych.

Dla chorych i rekonwalescentów

stare wina węgierskie

w olbrzymim wyborze.

Cenniki oraz próbki win beczkowych na życzenie gratis i franko. 203

Podróżujących nie wysełam, łaskawe zlecenia upraszam wprost listownie.



Jedyna jeneralna agentura

i główny skład 532

S. Zychliński w Poznaniu.

Cygara w największym wyborze.

Poznań, Rycerska ul. 15.

Zakład leczniczy dla chorych

na nerwy i na cierpienia przewodu pokarmowego (przełyku, żołądka, kiszek, wątroby) **włącznie chorób przetwarzania się materyi** (otyłości, choroby cukrowej, podagry, bladaczki, etc.) w połączeniu **z zakładem wodoleczniczym. Kuracye dyetyczne. Kąpiele elektryczne z prądem zmiennym i faradycznym. — Masaż wibracyjny elektr. i ręczny.** 18 **Kąpiele elekryczne świetlane.** Kąpiele wszelk. rodzaju. Gimnastyka szwedzka

Dr. Zakrzewski. Dr. Panieński

Mój

Zakład dentystyczny

znajduje się teraz 157

przy ul. Nowej nr. 7 I (Nowy dom bazarowy.)

J. GRYSZCZYNSKI.

Klinika prywatna

Dr. Pomorskiego

dla chorych na cierpienia chirurgiczne i ortopedyczne,
dla chorych na cierpienia pęcherza
i dla chorób kobiecych 159

Poznań Plac Piotra 4

(Petriplatz.)

TELEFON 293.

Przedsiębiorstwo

miernicze i melioracyjne

Pankalla & Krenz

Poznań, ul. Wiktoryi 2.

wykonuje wszelkie roboty w zakres miernictwa i melioracyi wchodzące po najniższych cenach, a mianowicie:

1. Roboty drenarskie,

wykonanie projektów do zawiązania spółek drenarskich, ulepszenia łąk przez osuszanie i nawadnianie, 40

2. Pomiary przez mierników zaprzysiężonych jako to: parcelowanie większych i mniejszych majątków i gospodarstw, regulacye granic, pomiary gruntów miejskich i podział na place budowlane itd.

Najlepszą, bo prawdziwie hygieniczną oraz przyjemną w smaku okazała się niezaprzeczenie woda do ust

„Tawit"

sporządzona podług przepisu lekarza dentysty p. A. Chwałkowskiego w Poznaniu. Do nabycia w aptekach i drogeryach za but. po 1,50 mk. Główny skład

w Zielonej Aptece

T. Wituskiego w Poznaniu, Wrocławska ul. 31.
Telefon 548. 21

Biuro prawnicze

Jasielskiego

w Poznaniu

ul. Wodna l. 4, I p.

spisuje **kontrakty** (mianowicie z wymiarami), skargi, podania do wszelkich władz, **obrony** w sprawach karnych, informacye w sprawach proces., **reklamacye** co do podatków i wojskowości, testamenta, regul. hipot. i spadki i zaciąga pożyczki landszaftowe i bankowe. 73

Pracownia robót kościelnych
WANDY GDECZYK
w Gnieźnie 122
ulica Tumska nr. 10.
poleca się łaskawym względom Przewielebnego Duchowieństwa oraz Szanownej Publiczności. Wykonuje wszelkie prace jako to, kapy, ornaty, stuły, bursy, birety, wszelką bieliznę kościelną, chorągwie kościelne i dla towarzystw. Wszystko po bardzo przystępnej cenie, wykonanie artystyczne.

„*Talizman zdrowia i piękności*" 80 fen. Ilustr. kucharz jarski (na post! 1,10 m. Katech. zdrowotny dla małżeństwa 1 mk. Zwalczanie nerwowości 1,35 mk. Samopomoc w cierp. płciowych 1,85 mk. Życie płciowe i jego znaczenie 2,20 mk, Zielnik lekarski (125 kol. obr.) 5 mk. Do nabycia w lepszych księgarniach lub wprost w eksp. „Przew. Zdrowia": *Czarnowski, Berlin N*, Weissenburgerstrasse 27. 113

Ważne!!

Kto chce założyć skład kolonialny, cygar i papierosów niech się ze zaufaniem uda do firmy hurtownej

Artur Gustowski 291

Opalenica.

Dom ten może udowodnić, że setki ma odbiorców po Księstwie i że konkuruje z najpierwszemi firmami tej branży. Na życzenie przyjeżdża zastępca firmy.

Księgarnia A. Cybulskiego w Poznaniu poleca dzieła pedagogiczne **Reussnera** do bardzo prędkiej i najłatwiejszej nauki **języków obcych bez nauczyciela** z objaśnieniem wymowy i z **kluczem**, pod tytułem:

Samouczek

Polsko-Niemiecki, kurs wstępny (Elementarz) po 30, 60 fen. i 1 mk., kurs Iszy 2 mk., kurs IIgi 4 mk.
Polsko-Francuski kurs I-szy 3 mk., kurs II-gi 8 mk.
Wypisy Francuskie 2 mk.
Gramatyka Polsko-Francuska 3 mk. 47
Polsko-Angielski, kurs Iszy 2 m., kurs IIgi 3 m.
Polsko-Ruski kurs I. 3,50 mk., kurs II-gi 4,50 mk.
Amerykański Przewodnik z rozmowami angielskiemi 1,25 mk.

PIERWSZORZĘDNY POLSKI

magazyn mebli

stylowych

Józef Sroczyński

Telefon 1290 POZNAŃ, BERLINSKA 8. **Telefon 1290**

Dobra i rzetelna usługa przy nizkich cenach.
Rysunki i kosztorysy bezpłatnie.
Najlepsze referencye. 51

B. Szulczewski,

ul. Wilhelmowska nr. 11.

Skład porcelany, fajansów, szkła.

Lampy naftowe, gazowe.
Oświetlenie spirytusowe.
Kompletne wyprawy.
Urządzania hotelowe.
Abażury — Przedmioty galanteryjne.
Pająki do kościołów.
Ampułki. 18

Znakomita kuchnia.

Restauracya

KISLINGERBRÄU

(Kaźmirz Krenz)

przy placu Wilhelm. **Poznań** w środku miasta, w pobliżu przystanku kolei elektrycznej.

Wyborne obiady

od godziny 12—3-ciej
po 1,25 mk., **w abonamencie 1,00 mk.**
Wielki wybór śniadań i kolacyi. 36
Uznana za najlepszą zimną ruską kuchnią.
Dobrze pielęgnow. piwa i wina. Dobra wentylacya

Korzystna sposobność nabywania lub sprzedawania

majątków większych, 39
folwarków i gospodarstw
oraz regulowania hipotek,

które uskuteczniam szybko, sumiennie i tanio.

G. Ritter, Poznań

Wodna ul. 27. Telefon Nr. 62.

Interes zbożowy, parcelacyjny i finansowy.

Zwracam szczególną uwagę na to, że mam każdego czasu do oddania **5 procentowe pierwsze miejscowe hipoteki** (pupilarnie pewne) na większych i mniejszych gospodarstwach zapisane.

Pismo jak „PRACA" powinno znajdować się w każdym domu szczerze polskim. Abonament kwartalny wynosi na poczcie tylko **1,25 mk.**

Pokrywanie dachów

na pałacach, kościołach, wieżach i zwyczajnych budowlach, łupkiem, dachówką, metalem, szkudłami, tekturą smołowcową.
Ceny przystępne i odpowiednie gwarancye.
Referencyami od powag w budownictwie i p. właścicieli, służę na życzenie.
Na życzenie dostarczam kosztorysa i obliczenie statystyczne. 137

Ig. Wolniewicz

Telefon nr. 36. Kostrzyn-Kostschin.

ZWIĄZEK ZIEMIAN

E. G. m. b. H.

TELEFON NR. 1615.

w Poznaniu ul. Wiktoryi 2.

przyjmuje depozyta i płaci zależnie od czasu wypowiedzenia $3\frac{1}{2}$, 4 i $4\frac{1}{2}$ %, obliczając procent od dnia złożenia pieniędzy, 94

podejmuje się regulacyi hipotecznej,

pośredniczy w sprzedaży i wydzierżawianiu majątków,

podejmuje się administracyi majątków ziemskich

prowadzi rachunki bieżące z członkami tak zwane „Conto Corrente".

Cykoryą
Hauswalda
Kawę 290
Cesarską

(Kaiser Otto Caffee)

mogą Panowie handlarze dostać znacznie niżej ceny fabrycznej w firmie

Artur Gusłowski
Opalenica.

Piegi
węgry, wyrzuty, czerwoność



wszelką nieczystość skóry usuwa się najracyonalniej za pomocą prawdziwej wody liliowej 262

Eau de Lys de Beauté

w butelkach po 1,50 mk. i mydła liliowego w kawałkach po 75 fen.
Środki te nadają śnieżno białą cerę twarzy, białe jak aksamit miękkie ręce oraz zawsze świeży rumiany wygląd.

Adres do zamówień:

K. Buchowski,
Chemisch-Kosmetisches Laboratorium. Posen 72.

Do nabycia w Poznaniu u pana Czepczyńskiego, w Jarocinie u pana Chylewskiego.

GNIEZNO, narożnik ulicy Horna i Nowe i nr. 6.
Filia **w WRZEŚNI,** ulica Pocztowa 192.

Zakład fotograficzny

P. Gdeczyk,

z d. **Eitner,**
założony 1879 r.
poleca 267
wszelkie nowości modne, powiększenia artystyczne, zdjęcia architektoniczne.

Kasa oszczędności

Banku Rolniczo-Przemysłowego

Kwilecki Potocki i Sp.

przyjmuje na oprocentowanie wkładki każdej wysokości od **1 marki** począwszy, płacąc od **3 do $4\frac{1}{2}$ proc.** wedle umowy. 19

Jan Białkowski 201

mistrz blach. i dekarski

Pobiedziska (Pudewitz),

pokrywanie dachów metalem, łupkiem, papą pojedyńczą i podwójną s. p. polepianie starych uszkodzonych dachów przy długoletniej gwarancyi, smarowanie, reperacye tanie i skore.
Skład lamp, szkła, porcelany i sprzętów kuchennych.

Albumy do fotografii i kart. Dla panów najnowsze laski.

„Globus" I. Mrówczyński

w Rawiczu,

naprzeciw „Apteki pod lwem".

W dobrym wyborze poleca:
Torby podróżne, torebki ręczne dla Pań, **kuryerki, torby szkólne, portmonetki, kosze do podróży, kosze** do bielizny i owocu, **koszyki ręczne, koszyki do przesyłek pocztowych. Instrumenta muzyczne** oraz wszelkie inne towary skórkowe i galanteryjne. 316

Obrączki ślubne, biżuterye. Dla pań prawdziwe korale.



PAN JEZUS CHRZCI ŚW. JANA CHRZCICIELA W JORDANIE.

Album „Pracy".

Drukiem „Pracy".

DZIAŁ ILLUSTROWANY.



Guido Reni. — Rzym. — Galerya Corsini.

ŚW. JAN CHRZCICIEL.

KWIAT PAPROCI.

Zakwita w puszczach dziwny kwiat paproci,
Na jedną chwilę w tajemniczym cieniu,
Cały świat blaskiem czarodziejskim złoci,
Lecz można tylko dotknąć go w marzeniu.

Młodość, co wierząc sama cuda tworzy,
Umie go dojrzeć w cudowności lesie,
Żadne widziadło w biegu jej nie strwoży,
Pewnej, że skarb ten na sercu uniesie.

A choć nie uszczknie kwiecia ideału,
Co pod jej ręką jako sen przepada,
Jednak ma chwilę ekstazy i szału,
W której jest pewną, że niebo posiada.

Gdy się dwa serca spotkają tęskniące,
Pełne nadziemskiej piękności i żalu,
Gdy objawienie miłości jak słońce
Na ust spłonionych zabłyśnie koralu,

Gdy po raz pierwszy drżące a wstydliwe
Te usta w jeden pocałunek spłyną,
Gdy przez nie dusze, połączyć się chciwe,
Jako dwie fale w oceanie giną,

Natenczas w uczuć wezbranych powodzi,
W tej błyskawicy duchów idealnej
Kwiat ów cudowny tajemniczo wschodzi,
I w pocałunku kwitnie niewidzialny.

Tyle też jego trwania! Gdy z zachwytu
Zbudzona dusza chce go ująć w dłonie,
Zniknął bez śladu... tylko wśród błękitu
Zostały po nim jakieś słodkie wonie.

E-ly.

Franciszkanie i Bernardyni w Nowem nad Wisłą.

Przyczynek do historyi południowego Pomorza.

Napisał **Konstanty Kościński.**

Do licznych i pięknych pomników przeszłości naszej należał kościół klasztorny w Nowem. Dla miasta i okolicy był on prawdziwą ozdobą, a dla serca polskiego w szczególności cenną pamiątką, ponieważ historya jego wiele zawiera szczegółów, które szersze obchodzą koła. Kościół i połączony z nim klasztor przetrwał wiele wieków, a w ich biegu przebywał na przemian chwile radosne i smutne, dzieląc dolę i niedolę z ludnością miejscową. Zabudowania klasztorne zerwano już w pierwszej połowie zeszłego stulecia, ale kościół dopiero kilka lat temu jak zniszczył pożar doszczętnie. Tak zatarły się ślady, które pobożność przodków naszych tam wycisnęła.

Spłonęła piękna świątynia, a pozostały po niej już tylko wspomnienia. Jeszcze w latach ostatnich jej istnienia mieliśmy sposobność zebrać na miejscu wiele danych, które się do jej odnoszą historyi. Nie zastąpią one poniesionej przez pożar straty, ale zasługują zupełnie na to, aby je utrwalić w pamięci i dla tego streszczamy je w pracy niniejszej:

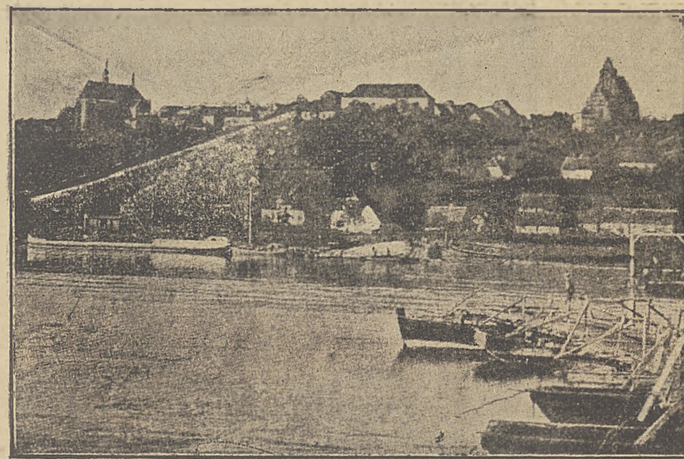
I.

Kroniczka.

Nowski klasztor Minorytów franciszkańskich istniał podług wiarogodnych źródeł już 1282 r. [1]). Zdaje się, że jego fundacya jest jeszcze starszą i sięga prawdopodobnie r. 1266 [2]). Wiemy bowiem, że Nowe otrzymało wtedy swoję fortyfikacyą i podniosło się przeto do rzędu twierdz.

Bliższe badanie murów miejskich i klasztornych, o ile takowe do roku 1893 jeszcze pozostały, okazało, iż mury klasztorne w ograniczonym były związku z fortyfikacyjnemi; z czego wynika, że jedne i drugie równocześnie wzniesione zostały. Ktoby był fundatorem, z pewnością powiedzieć nie można. Ponieważ jednakże tą częścią Pomorza, w której leży Nowe, pod owe czasy rządził książe pomorski Mestwin czyli Mszczug II, sądzimy przeto, że jemu założenie przypisać należy.

Podobne klasztory istniały pod owe czasy w stronach tamtejszych tylko jeszcze w Chełmnie, Toruniu i Brunsberdze. O pierwotnem ich urządzeniu nic wiele mamy wiadomości. Krzyżacy, którzy w krótkim czasie [3]) podbili tę część Słowiańszczyzny, nie odmawiali w pierwszych przynajmniej początkach zakonom opieki. Klasztor nowski Minorytów uzyskał potwierdzenie krzyżackie swoich dzierżaw. — Wynryk z Knipperody, wielki mistrz, udzielił na to 1376 r. osobliwie w Nowem, w środę po św. męczennikach Nereuszu i Achileuszu, odrębny przywilej.



Ogólny widok Nowego nad Wisłą w Prusach Zachodnich.

Z tego przywileju dowiadujemy się, że zakonnicy posiadali w r. 1376 nieruchomość przy ulicy klasztornej — pobliżu rynku, mianowicie cmentarz i podwórze przed basztą, którą „szafarnią“ zwano, do tego łąki nad Wisłą i grunta z jeziorem Łokna (czy też Łębna).

Roku 1415 podano posesyą klasztorną na 2 włóki roli [4]).

W tym czasie zmarniał konwent Minorytów, czyli Franciszkanów w Nowem zupełnie. Na ich miejsce przyszli z Saksonii ze zmienioną regułą pokrewni im Bernardyni.

Ninogniew z Jasiony Poronia Jasiński, starosta nowski (1469—1510 r.) dziedzic dóbr Płochocina i Borowa [5]), udzielił klasztorowi zezwolenia na poręb w borach swych dóbr tak na opał, jako i inne potrzeby.

Królowie polscy, którzy od r. 1466, po upadku zakonu krzyżackiego, stali się znów panami Pomorza wschodniego czyli gdańskiego, otaczali zakonników nowskich jak wogóle wszelkie katolickie instytucye kościelne, szczególną opieką i dobrotliwością. Król Zygmunt I. wystawił w Toruniu w poniedziałek po Wniebowzięciu Matki Najśw. 1520 roku [6]) Ojcom Zgromadzenia nowskiego na prośbę ich gwardyana Jana Żelisławskiego ogólny przywilej na posiadane przez nich grunta. Do własności klasztornej należały wtedy:

a) winna góra w pobliżu miasta Nowego;

b) wieża przy klasztorze leżąca szafarnią zwana;

c) 13 włók ziemi; z tych 10 włók w nizinach o 400 furach siana, 3 na górach;

d) prawo porębu na opał i budulec w borach starościńskich, które po za wymienionemi trzema włókami leżały; lęgały się tam dziki i wieprze;

e) rybitwa na jeziorze Łębna (w przywileju z r. 1376 Lokna);

f) Kępa wiślana do wykonywania rybołóstwa;

g) użytek łąki Bękowo (na obszarach Bękówka) przez Jasińskiego przekazany, jako też i poręb w borach płochockich, do Jasińskich należących. To prawo porębu potwierdził król Zygmunt z zastrzeżeniem, że własność borów wyraźnie Jasińskiemu i jego następcom należeć miała.

Nie długo jednak cieszył się konwent nowski swobodą i powodzeniem. Nauka Marcina Lutra bowiem i tu znalazła zwolenników. Już w samych początkach rozwoju luteranizmu apostazował (1524 r.) nowski gwardyan. Czy w ślad za nim poszli i inni zakonnicy, nie wiadomo. Mamy tylko drobne zapiski, że następnie Ojciec Stanisław Strenk piastował godność gwardyańską.

W przywileju miejskim z roku 15.. w Piotrkowie, w dzień nawrócenia św. Pawła (w sobotę) wydanym potwierdził król Zygmunt Bernardynom posiadanie klasztoru i jakiegoś placu i dodał im budynek takiej wielkości, w

[1]) Chron. pruss. (Script. rer. pruss. III str. 469. Anno Dom. 1282 claustrum minorum receptum est in Novo castro.

[2]) Script. rer. pruss. I str. 119.

[3]) Roku 1282 przeszło Nowe wraz z ziemią świecką i tymawską w posiadanie krzyżaków.

[4]) Wegner str. 111.

[5]) Borowo, teraźniejszy Borowymłyn-Heidemühle.

[6]) Maercker str. 392.

jakiej go niegdyś proboszcz posiadał [7]).

Wkrótce upadł klasztor zupełnie. Roku 1542 zajęli luteranie kościół klasztorny. Z zakonników, którzy po największej części klasztor opuścili, pozostał w Nowem już tylko gwardyan Strenk.

Tego samego roku (1542) spisano na rozkaz nowskiego starosty Jana Werdena [8]) inwentarz klasztorny. Poszły wtedy na schowanie do kościoła farnego następujące rzeczy klasztorne:

4 kielichy z patenami ze srebra, 3 z nich wyzłacane,

1 srebrny wyzłacany pacifikał,

2 srebrne ampułki,

2 humerały perłami i wyzłacanemi kółkami wyszywane,

2 takież srebrzyste,

2 kapy chóralne adamaszkowe,

7 dalmatyków,

8 ornatów niebieskich, czerwonozłotych i słomkowo-złotawych,

1 krzyż miedziany pozłacany z 17 kasztanami,

2 psałterze.

W klasztorze pozostały jeszcze:

2 kielichy i pateny ze srebra,

2 humerały,

1 Baranek Boży pozłacany,

16 ornatów po największej części tkanych,

1 mosiężna pozłacana monstrancya,

taka sama mała z domkiem srebrnym dla Przenajśw. Sakramentu.

Gwardyan Stanisław Strenk żył jeszcze 1562 roku w klasztorze, ale niewidomy. Na zapytanie sądu miejskiego poświadcza on, iż starosta klasztorowi żadnego nie zrobił uszczerbku, w nauce nie wymaga zmiany i żadnych innych predykantów nie ustanowił [9]). Tego samego roku oddaje chory gwardyan Strenk radzie miejskiej nowskiej browar klasztorny za 4 grzywny na rok, z obowiązkiem naprawy zabudowań i rur [10]). Niebawem umarł Ojciec Strenk na morowe powietrze [11]), będąc ostatnim Franciszkaninem bosym w konwecie nowskim. Po jego śmierci dostała się także i reszta przyborów kościelnych do fary. Przy tej sposobności znaleziono w klasztorze jeszcze: 9 alb, 10 obrazów na ołtarz, 4 komże, 4 mosiężne i 2 cynowe lichtarze, stary popsuty zegar z dzwonkiem, dzwon do sygnału na obiad, 3 małe dzwony i duże naczynie mosiężne [12]).

W tym czasie poprzepadało z majątku klasztornego wszystko. Kępę wiślaną po części woda zabrała, po części zajął amt kwidzyński, który wtedy do księstwa prusko-brandenburskiego należał. Jezioro mniskie przywłaszczył sobie zamek; część gruntów zabrali graniczący obywatele nowscy i powystawiali na zgliszczach chat spalonych nowe chałupy; resztą gruntów, mianowicie łąką Księstwem zwaną zawładnął starosta nowski Werden [13]), oddany nauce Lutra. Taki stan rzeczy był 1581 roku, do chwili objęcia starostwa nowskiego sposobem zastawu przez katolika Ernesta Weyhera, pułkownika wojsk rzeczypospolitej polskiej. Starosta Weyher oświadczył się gotowym do płacenia stosownej dzierżawy [13]). On też przewłaszczył w tym roku klasztor nowski biskupowi włocławsko-pomorskiemu [14]).

Rok przedtem wyznaczył budę dobieżaną pewnemu ubogiemu, a po śmierci jego klasztorowi.

Zaczęli się też dopominać katolicy oddania kościoła klasztornego, który od roku 1542 zawsze jeszcze protestanci trzymali, i tak podobno już 1595 roku podług źródeł protestanckich, za czasów króla Zygmunta, odebrał proboszcz nowski Paweł Albin na rozkaz biskupa włocławsko-pomorskiego kościół klasztorny predykantowi luterskiemu Jerzemu Putziger [16]). Podług zapisków sądowych nastąpił odbiór dopiero 1604 roku. Prawdopodobnie spisano wtedy protokół tradycyjny; przejście rzeczywiste mogło się odbyć poprzednio. Zasługa w tem przypada głównie ówczesnemu kasztelanowi chełmińskiemu Jerzemu Konopackiemu [17]). Mąż ten sprowadził też 26. 6. 1604 roku zakonników Bernardynów z Polski (strictioris observantiae). Hojny ofiarnością, jak wszyscy nieomal Konopaccy, przyczynił się kasztelan Jerzy głównie do naprawy kościoła klasztornego i potrzebnego pomieszczenia dla zakonników. Wskutek reformacyi ucierpiała bowiem świątynia tak bardzo, iż wszystko prawie w niej pogniło i pozapadało [18]). Konopaccy też głównie postarali się o wszystkie prawie sprzęty kościelne. Starosta mitawski, Jerzy Konopacki — syn wymienionego Jerzego kasztelana chełmińskiego — z małżonką swoją Anną z Konarskich, który dzierżył wtedy w tej okolicy dobra Rynkówkę i Leśnią Janię, zaopatrzył klasztor w srebra, darując 8 wielkich świeczników na wielki ołtarz i miednicę również srebrną [19]). Na dobra wyrzeczone włożył Jerzy Konopacki roku 1626 obowiązek dostarczania klasztorowi dwóch łasztów jęczmienia, jednego łasztu żyta, 50 złotych na wino i tyleż na wosk. Na bractwa św. Anny i św. Franciszka, legowali Konopaccy 6 000 złotych. Chcąc się za tę hojność odwdzięczyć, odstąpili Bernardyni im jednę kaplicę i miejsca pod grobowiec rodzinny, w którym najpierw Jerzy, zmarły 1604 roku, a następnie liczni inni członkowie Konopackich wieczny znaleźli spoczynek.

Roku 1606 miał klasztor 9 oddziałów w domu słodowym miejskim.

Około roku 1607 skończono reparacyą kościoła, przyczem piękne sklepienie oparto na sześciu filarach. Roku 1608 [20]) wyrestaurowano wodociągi od studni miejskiej przy ulicy Wodnej aż do klasztoru. Do pokrycia znacznych wydatków, jakie restauracya klasztoru za sobą pociągała, przyczynił się w roku 1610 w znacznej mierze Stanisław Kostka, podskarbi i starosta tczewski, syn Krzysztofa i Katarzyny z Konopackich wojewodzianki pomorskiej, wraz z bracią swoją Jerzym, Janem i Krzysztofem Kostkami [21]).

Roku 1620 [22]) urządzono tajny i zakryty wychód podziemny, z którego możnaby w czasie niebezpieczeństwa robić użytek.

Niedługo cieszyli się Ojcowie Bernardyni upragnionym spokojem. Nastały wojny szwedzkie. Roku 1627 dnia 7. 9. zajęli i złupili Szwedzi Nowe. Całe mienie klasztorne przepadło; kilku zakonników zabito, kilku pojmano, reszta uniosła tylko życie. [23])

Nie mógł potem zakon tak łatwo szkód naprawić i konwent uzupełnić, dla tego też roku 1649 stał klasztor jeszcze prawie zupełnie pusty. Wkrótce jednak poczęła znów rozbrzmiewać chwała Boża, ale nie na długo. Dnia 26. 1. 1656 roku wtargnęli Szwedzi ponownie do Nowego, niosąc wszędzie miecz i pożogę. Miasto i klasztor zapalili, przyczem 5 tylko Bernardynów

[7]) Maercker str. 376: fratribus Bernhardinis Monasterium ubi antiquibus situm est et unam aream jure jam diu possessam et pro dote unam Curiam ea magnitudine, qua eam plebanus olim possidebat.

[8]) 1528—1554 r. równocześnie burmistrza gdańskiego.

[9]) Froelicha excerpta z ksiąg ławniczych nowskich IV. str. 9.

[10]) tamże str. 23.

[11]) Maercker str. 130.

[12]) Froelich, wyciągi.

[13]) Jan Werden 1562—1572. Jerzy W. 1574 do 1613.

[14]) Froelich, wyciągi V str. 365.

[15]) Maercker str. 131.

[16]) Weichselbote Nr. 105 z r. 1887.

[17]) Był on piątym synem Jerzego również kasztelana chełmińskiego z Anny Kostczanki, żył zaś w małżeństwie z Elżbietą Dąbrowską, starościsnką radzyńską.

[18]) Fankidejski.

[19]) Fankidejski: Utracone kościoły.

[20]) Maercker str. 130.

[21]) Marański: „Co się działo“ str. 44.

[22]) Maercker str. 130.

[23]) Maercker str. 131.

zdołało ucieczką uratować się od śmierci w płomieniach.

Do krótkiej tej ale tak straszliwej kroniczki dodamy tylko, że następnego roku (1657) nastało morowe powietrze, a będziemy mieli obraz wymowny smutnych kolei, jakie ci ojcowie zakonni przechodzić musieli. Nietracono jednakże nadziei. Ofiarność ludzką wspierała łaska Boża i tak rozpoczęto naprawę już w roku 1658. W dwa lata później wyrestaurowano presbyteryum i dano rzeźbioną posowę w nawie pierwszej. Roku 1663 położono znowu nowy dach i naprawiono budynki, gdzie okazała się tego potrzeba.

Po tylu nieszczęściach, pracach i zachodach nastał nareszcie dla klasztoru czas swobodniejszy. Pod osłoną katolickiego rządu polskiego obywatele nowscy opiekowali się sami klasztorem.

Rada miejska wyznaczyła z swej strony syndyka [24]), który czuwał nad tem, aby zapisy na rzecz klasztoru czynione rzetelnie były spełniane i klasztor nie ponosił żadnej szkody.

Mimo wyniszczenia kraju przez Szwedów wzrastał też majątek klasztony ciągle i zapewnił ostatecznie byt klasztorowi prawie niezależny. Tak było do końca 18-go stulecia.

Zajęcie Prus Zachodnich przez rząd pruski przy pierwszym podziale Polski w roku 1772 nie pociągnęło na razie żadnych szczególnych zmian w ustroju klasztornym. Roku 1779 [25]) wyrestaurowano wielki chór w kościele, wyreparowano domek dla gości i organy, 1782 postawiono nowe cele, 1789 małą wieżę na środku kościoła, 1792 szczyt klasztorny i zaopatrzono go w zegar. Nie długo wszakże zmieniły się znów czasy pomyślności klasztornej. 1793 roku rozpoczął się proces między dziedzicem Płochocina Jasińskim z jednej a z klasztorem z drugiej strony o przywilej porębu w borach płochockich, którym, — jak się nadmieniło — zakonnicy już od roku 1520 się posługiwali. Roku 1796 rozstrzygnął sąd pruski na niekorzyść zakonników, na tej zasadzie, że królowie polscy nie mieli prawa rozporządzać drzewem w borach szlacheckich. Wskutek tego klasztor stracił ów przywilej na zawsze. Rząd pruski wyznaczył za to 1798 roku 41 „ósemek“ drzewa z borów starościńskich. Nie długo korzystali z tego zakonnicy, bo zbliżała się kasacya, o której w osobnym pomówimy ustępie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[24]) Maercker str. 131.
[25]) Maercker str. 131, 132.

Przed 75-u laty.

(Wspomnienie historyczne).

Bitwa pod Ostrołęką, dnia 26-go maja 1831 r.

(Dokończenie)

Polacy w nocy rozpoczęli odwrót i korzystając z ciemności starali się bocznemi bagnistemi drogami przez Kruki i Nakło wydostać na drogę różańską. O północy jeden tylko 2-gi pułk ułanów zostawał na miejscu, ale i ten za innemi wojskami pociągnął niebawem. O godzinie 2-giej w nocy doniesiono hr. Tollowi o wielkim ruchu w obozie nieprzyjacielskim. Toll, obudziwszy feldmarszałka, zawiadomił go o odwrocie nieprzyjaciela i konieczności ścigania go, na co wszakże nie zgodził się Dybicz, uważał bowiem za rzecz niezbędną zajęcie się przedewszystkiem sprawą wyżywienia wojska. O świcie 27-go maja nieprzyjaciel znikł już z przed oczów, i wtedy dopiero Dybicz wysłał za nim pułkownika Kostina z pułkami kozaków Borysowa i Sekretowa prawym brzegiem Narwi, generała zaś Pillera z pułkiem Atamańskim lewym brzegiem rzeki, na jednej wysokości z Kostinem. Przedewszystkiem feldmarszałek pragnął się przekonać, czy dywizya Giełguda z Łomży zdążyła połączyć się ze Skrzyneckim. W tym celu wysłany był do Miastkowa generał Ołferjew z 1-szą brygadą lekkiej gwardyjskiej dywizyi jazdy (pułki dragonów i ułanów i z dwoma działami). Pokazało się, że Giełgud 26-go maja pozostawał jeszcze na miejscu i dopiero 27-go rano wyruszył stamtąd prawym brzegiem Narwi na Chłudno. Z drugiej strony kozacy donosili z za Narwi, że część taborów polskich nadciągała z Ostrołęki do Myszyńca, co skłaniało feldmarszałka do przypuszczenia, że i Giełgud podąży tamże.



Władysław Ostrowski,
marszałek sejmu z roku 1830-go.

No podstawie tego przypuszczenia Dybicz postanowił skierować z biegiem rzeki Rossogi ku pruskiej granicy znaczny oddział wojska dla przecięcia Giełgudowi drogi do województwa płockiego; Ołferjewowi zaś zlecono zająć Łomżę. Tymczasem szosą ku Różanowi w ślad za kozakami wysłano dopiero około południa straż przednią pod dowództwem hr. Witta, złożoną z 1-szej dywizyi grenadyerów (9 i pół bataliona), z pół-bataliona saperów, z 1-szej brygady 3-ciej dywizyi ułanów (pułki Ukraiński i Nowo-archangielski), oraz z Łubieńskiego pułku huzarów, razem z 7 000 ludzi przy 16 działach. Hr. Witt posuwał się niesłychanie powoli i, przenocowawszy w Noszewie, 28-go maja doszedł ledwie do Sielunia, o 4 wiorsty od Rożana. Kozacy wysunęli się ku rzece Orzycy, skąd Polacy, przenocowawszy z 27-go na 28-go maja, wyruszyli niewcześniej jak o 9-tej z rana. Straż ich tylna, złożona z kilku słabych batalionów piechoty, z pułku ułanów i 4-ch dział, cofnęła się dnia tego tylko do Pułtuska. Nakoniec 29-go maja Polacy przeszli na lewy brzeg Bugu w Serocku i schronili się na Pragę. Kozacy nasi 28-go byli w Kleszewie, 29-go doszli do Pułtuska, wieczorem zaś do Serocka i Zegrza (Pillar w Wyszkowie), gdzie mosty przez Bug i Narew znaleźli już rozebrane. Hr. Witt posuwał się tak wolno, że 31-go maja dopiero, czyli piątego dnia marszu, doszedł do Pułtuska, odległego od Ostrołęki o 55 wiorst wszystkiego. Za strażą przednią Witta posunięta była 30-go do Rożana 2-ga dywizya grenadyerów i 2-ga brygada 3-ciej dywizyi kirasyerów pod dowództwem ks. Szachowskiego. Z siłami zaś głównemi Dybicz pozostawał w Ostrołęce do 1-go czerwca.

Okoliczności, nie pozwalające, zdaniem Dybicza, na bezzwłoczne i energiczne ściganie armii polskiej, w tem leżały: Przedewszystkiem nader szczuple zapasy żywności powstrzymywały feldmarszałka. Miejscowe zasoby Polski, dosyć podówczas wogóle szczupłe, skutkiem wyczerpania kraju, jak niemniej i niechęci ku nam mieszkańców, nie były w stanie zaspokoić dziennych potrzeb wojska przy szybkiem jego posuwaniu się, kiedy nie było czasu do ich zebrania na odpowiednio rozległej przestrzeni. Z sobą armia nie miała nic prawie, bo tabory wojskowe pozostały w tyle jeszcze przy przeprawie przez Buk u Narwi 21-go maja i przy całym pośpiechu nie mogły nadejść przed 28-mym; sześciodniowy zaś zapas, jaki żołnierze nieśli w tornistrach, został już zużyty. Transport najbliższy, składający się

z 675 furgonów magazynu ruchomego i dwóch parków z owsem, wyruszył 22-go, 23-go i 24-go z Brześcia i zatrzymał się w Wysokiem Mazowieckiem skutkiem zjawienia się Chłapowskiego. Furmanki pozostałe albo wracały po prowiant, albo go ładowały. Magazyny w Łomży już nie istniały; najbliższyjej z siłami głównemi wysłano do Myszyńca, w górę rzeki Rossogi, korpus hr. Pahlena, wzmocniony 1-szą brygadą 3-ciej dywizyi kirasyerów. Pahlen przekonał się natychmiast, że ani od strony Łomży, ani od strony Ostrołęki między szosą a granicą pruską żadnych wojsk polskich nie było, zauważone zaś 10-go strzelców, oraz $1^1/_2$ szwadrona huzarów z pułku arcyksięcia Ferdynanda; żadnych znaczniejszych oddziałów w pobliżu nie było, a tymczasem miasto to, obok ważności ze względu na położenie swoje, miało znaczenie niepospolite, jako punkt składowy, w którym zebrane były ogromne zapasy ży-



I. Nowakowski. **Podarek z miasta.**

mi były: Grodzieński i Skidelski, skąd prowiant nie mógł wyruszyć przed 31-szym maja. Następnie Dybicz nie miał dokładnych wiadomości o dywizyi Giełguda i jej przeznaczeniu. Znużenie wreszcie wojsk, wytężających wszystkie siły bez najmniejszego prawie odpoczynku przez dwie doby, niewątpliwie wpłynęło również na postanowienia Dybicza, że zachowywał się biernie wobec odwrotu Skrzyneckiego. Wszystko to zapewne nie wyłączyło jednakże możliwości ścigania trop w trop Polaków, jeśli już i nie całemi siłami, to przynajmniej liczną jazdą wraz z artyleryą konną, nad czem zastanowimy się jeszcze poniżej. Co do dywizyi Giełguda, jak wspominaliśmy, to ona, jak donosił Ołferjew z Miastkowa, wyszedłszy z Łomży, skierowała się prawym brzegiem Narwi ku Chłudnemu. Dla przeszkodzenia połączeniu się przez kozaków tabory były pociągami wiozącymi pewną część chorych do Chorzelów; skutkiem tego Pahlen został 30-go maja cofnięty, a pułk Sumski huzarów jedynie zostawiono dla baczenia za Rossogą. Ołferjew, zająwszy Łomżę, dowiedział się, że Giełgud 27-go nad wieczorem zwrócił się od Chłodnego ku Stawiskom, a następnie pociągnął na Szczuczyn. Idąc za nim, Ołferjew sam skierował się w tę stronę, przybył 30-go do Szczuczyna i dowiedział się, że Giełgud na dzień przedtem jeszcze atakował Sackena pod Rajgrodem i zmusił go do odwrotu, ale którędy mianowicie — na Kowno, czy na Grodno, dowiedzieć się niepodobna było. Kierunek, obrany przez Giełguda, wzbudził obawy feldmarszałka co do Grodna. W mieście tem znajdowało się tylko po jednym batalionie z pułków: Archangiełogorodzkiego i wności, a nadto z powodu swej bliskości stanowiło główne źródło zaopatrywania potrzeb armii. Z tego więc powodu Dybicz dał rozkaz znajdującemu się w Bielsku z pułkami Podolskim kirasyerów lejb-gwardyi i ułanów Wielkiego Księcia Michała generałowi Knorringowi natychmiast najszybszym marszem udać się do Grodna, przyłączywszy do siebie w Białymstoku dwa bataliony piechoty. Z Ostrołęki skierowany został ku Łomży hrabia Kuruta z pułkami gwardyi: Litewskim, Wołyńskim i Grodzieńskim huzarów, oraz z 12 działami, ażeby w razie potrzeby pospieszył również do Grodna przez Tykocin i Wasilkow. Przyłączywszy do siebie oddziały Sackena, Knorringa i garnizon Grodzieński, Kuruta miał możność nie dozwolić Polakom przejścia przez Niemen — gdyby zaś Giełgud szybko zajął Grodno, wyparcia go

ztamtąd. Zapasy tu nagromadzone zniszczyć zabroniono, z wyjątkiem, prochu. Zabezpieczywszy w ten sposób Grodno, feldmarszałek nie miał bynajmniej obawy o Wilno, w gubernii bowiem Wileńskiej znajdowała się ilość wojsk dostateczna, a nadto, gdyby Giełgud posunął się ku dolnemu Niemnowi, to byłoby dosyć czasu do koncentracyi tych wojsk. Wobec więc tego zaleciwszy Olferjewowi nie spuszczania z oka Polaków, Dybicz z siłami głównemi opuścił Ostrołękę 1-go czerwca i rozłożył się między Pułtuskiem, Gołyminem i Malkowem.

* * *

Uzupełniając opowiadanie o bitwie Ostrołęckiej, wypada wspomnieć o działalności Umińskiego. Po utarczce pod Jędrzejowem 13-go maja generał ten z 3-ma pułkami jazdy śledził za Rosyanami nad Kostrzyniem, sam zaś z siłami głównemi, odpowiednio do zlecenia stał pod Wielkim Dębem. Odebrawszy wiadomość o ruchu Dybicza, Umiński wysłał za nim 23-go maja dwa oddziały: jeden z nich, złożony z jazdy lekkiej, dotarł do Grany i Drohiczyna, chwyciwszy kilka furgonów i jeńców, — drugi, złożony z jednej brygady piechoty, jednej brygady jazdy i 16 dział ruszył na Siedlce. Znalazłszy zniszczonymi mosty na Kostrzyniu, oddział ten jeden z nich naprawił i 24-go bezskutecznie napadł na Siedlce, bronione przez hr. Pahlena 2-go. Umiński zniósłszy usypane przez Rosyan okopy pod Suchą, pozostał z resztą wojsk swoich w obozie pod Dębem Wielkim, obawiając się przy krokach zacz... odcięcia przez Kreutza od Warszawy. Tu nagle usunięto go od dowództwa korpusu i odwołano do Warszawy Spodziewano się po nim większej energii, a nadto wódz naczelny obrażony był tonem uszczypliwym, jakiego Umiński w stosunkach z nim pozwalał sobie.

Na pobojowisku.

Chłód go nocny powrócił do życia
I otworzył swe oczy powoli...
Wkoło ciemność — słychać jakieś
wycia,
Jakieś jęki — coś go w piersiach boli...
Z bolem pamięć powraca leniwa,
Rozpoznaje z dreszczem niepokoju,
Ze na ziemi wilgotnej spoczywa,
Gdzie upadł w boju!

Rozpoznaje przez mgieł kłęby sine,
Ciemne kształty rzucone w nieładzie,
Co zasłały dokoła równinę
Pojedyńczo leżąc, lub w gromadzie,
Rozpoznaje stosy nieforemne,
Z których czasem straszny jęk
wybucha,
I ze zgrozą patrzy w niebo ciemne,
Patrzy i słucha.

Coś się ruszy — coś tam zaszeleści;
To znów słychać rżenie, lub chrapanie,
Głosy dzikiej nieludzkiej boleści,
Coś upadnie — coś ze ziemi wstanie,
A szmer każdy w nocnej ciszy rośnie,
Olbrzymieje trwogą, wstrętem, bolem,
I w powietrzu jęczy wciąż żałośnie
Nad krwawem polem.

Adam Asnyk.

Z sylwetek śląskich.

Bronisław Koraszewski

długoletni pracownik na niwie pracy publicznej na Górnym Śląsku, liczy 42 lata i jest na ziemi Piastowskiej naj-



Bronisław Koraszewski.

starszym z żyjących tamże obecnie redaktorów z wyjątkiem ks. Radziejewskiego, zamieszkałego teraz w Poznańskiem. Szlachcic z urodzenia, stał się apostołem chłopów. Dwie zwłaszcza cechy wybitne charakteru jego usposabiają go doskonale do tego tak trudnego a ciernistego zawodu: głęboka miłość ludu i wytrwałość niezłomna. Kocha on lud nietylko platonicznie, nietylko w myśl zasad demokratycznych, które wyznaje, ale praktycznie w całem tego słowa znaczeniu; żyje on nietylko dla ludu, ale i z ludem, bierze żywy udział w codziennych jego troskach i cierpieniach, jest mu przyjacielem, doradzcą, co więcej bratem prawdziwym, nie zapominając przy tem i o tem, że na stanowisku, jakie zajmuje, równocześnie powinien być jego przewodnikiem i nauczycielem. Życie jego, jak życie każdego prawdziwego i szczerego trybuna ludowego, szło i idzie ciernistą drogą, ale z drugiej znów strony nie poskąpiło mu i bujnych owoców, które każą mu zapomnieć o cierpieniach i głogach.

Wielce charakterystycznem dla osoby i działalności Koraszewskiego było zdanie, jakie do jednego z wybitniejszych mężów górnośląskich wypowiedział czasu swego pewien radzca rejencyjny z Opola. Pan ten, także szlachcić urodzony, dbały wielce o godne reprezentowanie uprzywilejowanego pochodzenia, zapytany przez owego męża, co też sądzi o przywódzcy ruchu polskiego w Opolu, skrzywił się niesmacznie i z pewnem lekceważeniem odpowiedział: „*Eh! Der verkehrt nur mit Bauern, geht auf Bauernhochzeiten, hält dort Reden, und singt mit den Bauern!*“ Biedny pan radzca nie przypuszczał widocznie, jak pochlebne świadectwo wystawił przez to „szlachcicowi-demokracie!“ A pan radzca powiedział prawdę! Bronisław Koraszewski jest nietylko redaktorem pisma ludowego, nietylko piórem walczy o prawa narodowe i broni dobra jego, ale działa więcej jeszcze żywem słowem i osobistym przykładem. Właśnie osobiste jego stosunki z ludem, jego bezpośrednie spotykanie się z tymi, którym przewodzi, czynią pracę jego tak wydajną i najpomyślniejszemi rezultatami wieńczą wszelkie jego zabiegi.

Przybył on na Śląsk w roku 1887, jako młody człowiek, pełen ochoty do pracy, zapału i wiary, a już po krótkim tamże pobycie założył z kilku obywatelami Polakami ze stanu średniego w Królewskiej Hucie pismo: „Głos ludu górnośląskiego“. Pismo to, jakkolwiek dobrze redagowane, z braku funduszów u nakładców i dlatego, że założono je u boku starego i bardzo rozszerzonego w tych stronach „Katolika“, nie istniało atoli długo, a do upadku jego przyczynił się głównie proces prasowy, jaki wytoczono redaktorowi za zbyt śmiałe skrytykowanie jednego z nowszych, a dla ludu górnośląskiego niekorzystnych praw niemieckich. Pismo upadło a redaktor przecierpiał dwa tygodnie w więzieniu*). Potem pracował przez czas pewien w redakcyi „Katolika“ w Bytomiu. Na tem stanowisku założył on wraz z redaktorem Napieralskim — było to po strejku roku 1889 — Związek wzajem-

*) W kilka lat później K. odbył za rzekome przestępstwo prasowe sześciomiesięczną kaźń więzienną.



D. Triens. **Święto wiejskie.**

nej pomocy robotników górnośląskich, który dziś liczy już tysiące członków i rozwijając się pomyślnie, stanowi punkt oparcia w walce polskiego ludu roboczego z kapitałem niemieckim. Ale i tam nie przebywał długo. Opatrzność do innego, ważniejszego powołała go zadania. Opolskie, okolica najrdzenniej polska z całego Górnego Śląska, nie posiadała wówczas ani polskiego pisma, ani żadnego innego ogniska, około którego skupićby się mogły żywioły narodowe. Coraz też częściej odzywały się ztamtąd głosy walczącego o mowę swą i narodowość ludu o przewodnika. Koraszewski usłuchał wezwania tego i w październiku roku 1890 założył tamże „Gazetę Opolską". Z tą chwilą zakwitło nowe życie w tym prastarym grodzie polskim. Niebawem za staraniem redaktora powstało „Towarzystwo polsko-katolickie," które liczy dziś kilkuset członków, urządza odczyty, teatra amatorskie, pogadanki i zabawy i łączy w sobie wszystkie inteligentniejsze żywioły z miasta i okolicy. Oprócz tego założył Koraszewski w latach następnych może z dziesięć innych towarzystw ludowych w powiecie i w dalszych nawet okolicach, a wszystkie opierają się głównie na jego pracy i jego poświęceniu. W niedzielę prawie nigdy nie można go zastać w domu, bo zwykle przebywa na zebraniach. Najświetniejszym czynem jego było przeprowadzenie wyboru posła p. majora Szmuli. Gdy śląskie arystokratyczne stronnictwo centrum, nie mogąc darować p. majorowi Szmuli, że tak energicznie w sejmie i poza sejmem przemawiał za historycznemi i językowemi prawami ludu polskiego na Śląsku, że zdemaskował hipokryzyę niektórych wybitnych działaczy centrowych, gdy za te „winy" obaliło centrum kandydaturę p. Szmuli w Bytomskim okręgu, i gdy zdawało się już, że lud górnośląski straci tego najdzielniejszego z wszystkich parlamentarnych obrońców swoich, dzielni Opolanie pod wodzą Koraszewskiego ofiarowali mu mandat w okręgu wyborczym opolskim. I pan major przeciwko woli większości księży i całej zniemczonej inteligencyi wyszedł zwycięzko z urny wyborczej, wprawdzie tylko kilku głosami większości, lecz gdy wskutek różnych manewrów przeciwników wybór jego unieważniono, — wybrał go lud opolski po raz drugi i to taką większością, że już przeciwnikom jego odeszła wszelka ochota do założenia protestu.

Poraz to pierwszy mieliśmy wówczas sposobność przyjrzeć się ludowi górnośląskiemu. Imponował on nam swą śmiałością, swobodą, otwartością swą i wysokim stopniem oświaty. Przekonaliśmy się też dowolnie, że twierdzenie nieprzyjaciół naszych, jakoby lud ten nieczuł się polskim, jest kłamstwem i oszczerstwem. W sercach jego takie samo gorące żyje przywiązanie do macierzy polskiej, do mowy i obyczajów ojców naszych — jak w sercu każdego Krakowianina lub Wielkopolanina. Nie ma więc między nami żadnej różnicy — prócz tej chyba, że lud śląski, dłuższy niż my przebył czyściec cierpień narodowych. Ale też z czyśćca tego wyszedł on zdrowszym na ciele i duszy, wyszedł silniejszym i wyniósł z niego większą odporność przeciwko grożącej mu nawale.

Że tak się stało, w tem niemała zasługa Koraszewskiego. On to przy pomocy kilku mężów z ludu i kilku zacnych kapłanów, którzy mają odwagę płynąć przeciwko prądowi germanizacyjnemu, popieranemu nawet przez władzę duchowną, podniósł lud opolski, lud śląski do takiego poziomu dojrzałości politycznej i moralnej, że lud ten

śmiało już każdej burzy spojrzeć może w oczy, bez troski o przyszłość.

Koraszewskiemu zawdzięczamy także zorganizowaną przezeń wycieczkę górnośląską (100 ludzi) na wystawę rolniczo-przemysłową do Poznania w 1895-tym roku. Bądź co bądź, odwiedziny ówczesne Górnoślązaków w grodzie Przemysława były wypadkiem historycznej doniosłości, gdyż zbliżyły one do siebie znów braci jednego narodu, których rozdzielały wieki całe walk braterskich i niepamięci.

Cześć ci zacny pionierze miłości bratniej na kresach górnośląskich! Niech praca twoja zawsze tak błogie wydaje owoce, jak wydawała dotychczas, pracuj dalej z równą zawsze wytrwałością, a w pracy tej i w walce niech cię krzepi zawsze ta myśl, że Wielkopolska cała spogląda z dumą i wdzięcznością na syna swego, który na pustyni zapomnienia i niedoli zdołał odszukać ginących już braci, i znów ich przywieść w objęcia macierzy. Cześć ci i chwała!! *.....ki.*

BŁAWATY.

Przed przyjściem na świat Zbawiciela rodu ludzkiego, źle się działo w krainie żydowskiej .

W pocie czoła orał naród ziemię i zasiewał pola — a wszystko napróżno.

Ziemia, jak mur, nie chciała rodzić.

Daremnie czekano na zboże: z pola można było zbierać tylko osty...

Natenczas pospołu z innymi, smutną pędzili dolę ubodzy rodzice najczystszej z dziewic — Maryi — którą Bóg później obrał za Matkę Jezusa.

Dokuczała im bieda gorzko, ale oni nie bluźnili niebu z tego powodu.

Kojąc swój głód w modlitwie — płakali jeszcze nad biedniejszymi od nich i nieraz się zdarzyło, że u siebie żebraka nakarmili przymierającego w drodze, lubo w domu nie mieli co dać gadzinie...

Zarówno oni, jako też ich dzieci, mało zazwyczaj dbali o siebie — litując się nad losem bliźnich i starając się ulżyć nędzy innych.

Najmiłosierniejsze serce miała Marya.

Odczuwając boleśnie cudzą biedę, przemyśliwała nad tem, coby począć dla dobra głodnego narodu.

Ilekroć ujrzała dziatki blade, wychudłe, zapłakane i usłyszała, że im matki nie miały co dać do ust — straszny ją żal zbierał i byłaby wtedy ostatnią oddała bieliznę za kawałek chleba dla nich...

Ilekroć do niej żebrak kościstą rękę wysunął z łachmanów — byłaby mu nieba przychyliła, gdyby mogła — żeby Bóg snadniej dostrzegł siwego nędzarza i zlitował się nad jego niedolą!

I kiedy po znojnej pracy oddawała się nocą modlitwie gorącej, radziła się w pokorze Pana Wszechmogącego, coby miała przedsięwziąć dla szczęścia smaganego za grzechy rózgą niebieską narodu; a błagała Go przytem, żeby raczył przyjąć jej ofiarę — jeżeliby tego było potrzeba — i na wszelkie skazał ją męczeństwa, a ulitował się nad jej bliźnimi...

Na takich modłach serdecznych zastał raz Anioł Pański tę najcnotliwszą z cnotliwych dziewic, klęczącą w ciemnej izbie pośród nocy, gdy rodzice Maryi posnęli snem sprawiedliwych.

Zbliżył się do Niej.

Ujrzała Marya nagle jasność przy sobie, lecz nie ulękła się jej wcale, bo już dawniej na modlitwie nachodził Ją czasem gość z nieba.

Tym razem kornie pochyliła głowę i szeptem rzekła do Anioła:

— Słucham cię, posłańcze Pański.

Anioł nachylił się ku Niej, aż Ją skrzydłem swem białem dotknął w ramię i przemówił cicho, iż tylko Ona jedna słyszała słowa jego:

— Pójdź, dziewico bogobojna, do świętego miasta — a dążyć będziesz przez pola obsiane i szemrać nie będziesz na ciernie i osty, które stopy twoje napotkają w drodze...

Ujdziesz trzy dni i trzy noce, aż staniesz przed świątynią Pańską.

Tam kornie czołem uderzysz o kamienne stopnie ołtarzy i będziesz modlić się Bogu o zlitowanie się nad biednymi bliźnimi, a On cię wysłucha...

Zniknął Anioł, a Marya po chwili podniosła się z ziemi na duchu pokrzepiona i jak stała, wyszła w drogę.

Usłuchała we wszystkiem głosu posłańca Bożego.

W ubogiej bieliźnie i w spódnicy wysarzałej, Marya idzie a idzie boso przez pola szerokie a mizerne — dniem i nocą dążąc ku miejscu świętemu.

Pod jej stopami łamią się osty — których ziemia zrodziła bez liku; niejeden cierń na drodze okrwawił nogi dziewicy, ale nie wstrzymał jej kroków.

Wiatr igra z jej włosem jasnym, jak len, rozpuszczonym po ramionach, słońce pali czoło odkryte.

W oczach łzy, jak perły, błyszczą na widok pól, zasianych ziarnem, a zarosłych chwastem i nikłą słomą bez kłosów, z której nie będzie chleba dla biednych, głodnych, czekających na zboże...

Idzie Marya polami samotnie, idzie rozmodlona, w dal wpatrzona wzrokiem pełnym wiary, nadziei, miłości — jak gdyby widziała przed sobą bramy niebieskie i tron Pański.

Wtem słyszy głos męski — a taki słodki i dźwięczny, jak gdyby płynął wprost z nieba:

— Zdrowaś, Maryo!...

Podniosła oczy dziewica i ujrzała jasność wielką dokoła siebie — jakby słońce z obłoków spadło na ziemię.

Olśniona — oczy przysłoniła ręką, nie śmiąc pytać, kto ją pozdrawia wśród drogi.

A znowu ten sam głos odezwał się do niej:

— Łaskiś pełna... Pan z Tobą!...

Słysząc to Marya, na kolana padła, kornie chyląc głowę, a kiedy oczy od ziemi podniosła nabożnie, ujrzała przed sobą stojącego w pełni promieni niebiańskiej światłości, samego Archanioła Gabryela, który wsparty na mieczu, pochyliwszy nad nią swe ogromne skrzydła białe, mówił dalej do dziewicy:

— Błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławion owoc żywota Twego!...

Po tych słowach w niebo uleciał Archanioł.

Słychać było tylko szum w powietrzu, jak gdyby górą ciągnęły żórawie i widać było smugi dziwnego światła, niby po komecie, a na ziemi została jeno woń czarowna — jako po jaśminach.

Długą chwilę jeszcze pośród pola klęczała wybranka Pańska na tajemnej z Bogiem rozmowie...

A kiedy z ziemi powstała Marya, jasność przedziwna biła od Jej czoła, czego przedtem nie miała; zdało się, że jej głowę okala niewidzialny wieniec z gwiazdek.

I nie wiadomo, kiedy znikł z jej ciała strój dawny, a natomiast z ramion dziewicy spadała wspaniała szata błękitna, szeroka i długa, że się za nią wlokła po ziemi.

Poszła Marya dalej w drogę ku świętemu miastu... Ale szła już inaczej, niż przedtem.

Coś ją niosło przez pola, jakby jej nagle skrzydła urosły u ramion, szła, jak święci chodzą, a przecież stopami dotykała ziemi.

Odtąd na jej drodze ciernie kryły się pod trawę, chwasty kładły się na ziemię, żaby i gady chroniły się pod omszałe kamienie, by swem wstrętnem cielskiem nie zająć drogi, kędy stąpała Błogosławiona między niewiastami.

Ustępowały się z drogi Maryi owady wszelakie...

Z przed nóg jej z uszanowaniem ulatywały skowronki w górę pod niebo, wyśpiewując:

Zdrowaś Maryo!

Jaskółki jeno, szybując w powietrzu, spadały ze czcią do stóp dziewicy i powtarzały:

Pan z Tobą!

Brzozy i wierzby przydrożne pochylały się przed nią, gdy mimo nich przechodziła — i puszczając na wiatr zielone warkocze, szemrały:

Błogosławionaś...

Motyle zlekka siadały na jej szary niebieskie i całowały je.

Strumyki szumiały cicho — oblewając lilie białe, które kornie chyliły się do stóp nadchodzącej polem dziewicy.

A przez pola za Maryą wlokła się suknia błękitna.

Co chwila jej rąbek zaczepiał się o osty.

A Marya szła dalej — nie wstrzymując kroków.

Strzępy sukni błękitnej zostawały na ostach.

Tak powstały bławaty.

Dokoła zaś nowych kwiatów błękitnych, wyrastały na polach w mgnieniu oka kłosy żyzne.

Całe zbóż łany, przeplatane modrymi bławaty, znaczyły drogę — kędy przeszła przed chwilą Błogosławiona między niewiastami.

Naokół zaczęły złocić się pola bujnem żytem i dorodną pszenicą.

Będzie chleb dla głodnych!...

Marya, doszedłszy do świętego miasta, korne Bogu składała dzięki, że wysłuchał jej modlitwy... *K. K.*

Nie daj.

Nie daj życiu zgasić wiary,
Choć serce boleje,
Chociaż rani cierń zawodu
I oko łzy leje,
Chociaż wszystko piołun daje
Za czyny — ofiary...
Choć zawiodą i najbliżsi,
Nie daj życiu zgasić wiary;
Bo dokąd się ona
Pali w głębi ducha,
Dotąd cię nie złamie
Rozpaczy noc głucha!

* * *

Nie daj życiu zmrozić serca,
Choć smutek go truje,
Chociaż mówią, że szczęśliwy
Ten, co mało czuje.
Chociaż ono stygnie zwolna
W doświadczenia fali,
Niech się drobna skra uczucia,
Jak lampa wciąż pali;
Bo bez serca w piersi,
Ciało jest jak trumna...
Iż w zawodach kochać umiesz,
Bądź szlachetnie dumna.

* * *

Nie daj życiu zbrudzić myśli,
Choć zaraza wionie.
Jak od kurzów i popiołów
Osłaniaj swe skronie.
Myśl nie znika, wpija w duszę
Jako wąż — morderca,
Bo zatruje brudem życie,
Cnotę wyssie z serca...
A życie wieść trzeba
Niczem nie splamione...
Bo ono kroczy drogą
Chrysta odkupione.
Nie daj zabić w sobie wiary,
Nie daj mrozić serca...
Nie daj myśli brudzić grzechem,
Choć świat jak bluźnierca
Na to czyha, tego pragnie,
Byśmy mu służyli...
Każdą kartę swego życia
Zwątpieniem plamili...
Nie daj dziewczę zabić wiary...
W niej siła i męstwo...
Silnym sercom da Bóg ujrzeć
Nad wrogiem zwycięstwo!
Jadwiga S.



A. Mucharski. **Na nową służbę.** (Obrazek z bruku warszawskiego).

„Dobranoc."

Obrazek wiejski od Krakowa.

U Torby Jantka za „przykopą" rwetes, kręcanina, sprzątanina, a z komina dymy się walą już dwa dni bez ustanku jak z papierni, bo wydaje on córkę Magdę za „Michała z rolą". Korzeniowska kucharka weselna na całą okolicę, przez dwa dni założywszy

„piekanz" napiekły przeszło dwieście „kolocy", dziewięćdziesiąt chleba i dwadzieścia pięć „buchtów" do „arbaty". Ostatnie kolacze wsadziła w piec wieczór nie daleko, wnet przyjdą grac na „dobranoc", a tu izba zawalona dzieżkami, łopatami, ciaskami, pomietłami. Dwóch sąsiadów Powroźnik i Ciurek przyszli do pomocy i wynoszą, sprzątają na raptasę, aże skorupy trzeszczą na ziemi z jaj użytych do koloczy. W komorze „tworzy" stary Torba; Jantek okowit przywieziony z Wieliczki, probują go usłużni sąsiedzi i chwalą, że tęgi okowit, bo pół na pół przyjmuje wodę, a gorzoła jeszcze „morowo", że aż otrząsa po pierwszym kieliszku. Franek, syn ożeniony Jantka Torby probując, mówi: Najzdrowsi gorzałkę pić jest, dwa kieliszki czystej, dwa z pieprzem, dwa bez pieprzu, dwa z imbierem, dwa bez imbieru, dwa tak i dwiema poprawić. Trzymając się tej hygienicznej zasady już ma dobrze w czubie. Trzymając kieliszek w ręce, którym już ma poprzednie poprawić, recytuje przedmowę do gorzałki:

— Byłaś w piecu, byłaś w bani, teroz pudzies do otchłani — i łyknoł czternasty ze smakiem jak poziomkę.

Pies w stajni uwiązany wciągle szczeka aż ochrypnął i szarpie się na ludzi wciągle idących ze serkami, jajkami na wesele, bo taki zwyczoj, że gdzie młodacha zaniesie bukiet drochnie stamtąd przynoszą serki, mleko, jaja potrzebne do pieczywa i do kawy, a Magda rozniosla cos około sto dwadzieścia bukietów. Właśnie weszła do izby ,od roznoszenio bukietów wróciwszy. Matka do niej rzecze:

— Bój się Pana Boga, Magda, łazis i łazis cały dzień, a tu tyla roboty, ze 'gowo łostąpsie! jeszcze łóżka nie wyniesione, izba nie zamieciona, a krązaniny dla świni na jutro nima gotowej, pomorzy się gowiedz za te dwa dni, skoranie boskie z jakom ożeniackąm!

— Matko Bosko, matusiu, dyć jo ledwo łazę, tak mię nogi bolą, ze jutro na ślub nie zajdę, a jeszcze kosulę mom nie prasowaną, a butów jakoś mi Pietrek nie przynosi, zebym se zachodziła, — odrzekła córka.

— Cie! ledwo łazi, tak ją nogi bolą, a jak ino zagrają, to ci i ból z nóg wylezie, a na ślub to byś zasła nie kulający choćby ci „odbitek" obierał na pięcie.

— Jeee! matusiu lepij byście nie pletli, bo nie prawda.

— Oooo jujści, a ciągle ino Michała i Michała, to go będzies miała.

— Cie! a wyście go to matusiu nie chcieli, kiedyście wołali mu ino zięciu! zięciu! toście wyzięciowali! Franek pijany wszedł do piekarni i śpiewa.

„Poszedłem na jarmark, kupiełem se bycka, Przywiodem do chałpy sumiennie cielicka."

— Nąą — Tyś se juz kupił cielickę, bo zaplątos nogami jak mokre ciele — rzecze Torbina.

— Matusicko! rzecze Franek — dajcie spokój, bo nie nas świat, ino boski, wypiłem se ino dwa bez pieprzu, dwa z pieprzem, dwa z imbierem, dwa bez imbieru, dwa tak, a dwiema poprawił; nalewa wódki do kieliszka trzesącą ręką i pije.

— Zdrowie wase matusiu!

— Eeee idz pijoku! lepij bys pumug co zrobić, bo już wiecór, a tu jesce tyle do roboty, bierz łózka z ojcem i wynoście bo trza zamiatać! Helina zamiatoj! nima jej skoranie boskie, Helina! Helina! Wpada do izby zdyszana Helina czternastoletnia najmłodsza córka i mówi zdyszona.

— Idą już, idą! już grają!

— Raźno mi zamiataj bo cię!...

— A ktoz gro pyta się kucharka.

— Jeee — toli — rzecze Torbina — Jantek z Bugaju, Trąbka z Leckorany, Dyrga, Kosek i Gadula!

— Ną powiedzcie ten Jantek sie tyz taki muzykant zrobił, dwa miesiące ino do Dyrgi chodził i przebroł go całkiem.

— Jeee — moisciewy, to nic dobrego ta muzyka, leko zarobi, leko przejdzie. On wszystko i Torbę, Tomka przepije, a oni mu basują ze mu dziołek dadzą i żyją od niego. Na imieniny to kupił dziouse chustkę za styry reńskie. Choćby się i ozenił, to co ta za gospodarz z muzykanta, a do tego on taki gazycioż ino ciągle by cytoł a pisoł do gazyt, a oni mu durkują i coz to z tego!

— Eeee nie godajcie, on mo już pono trzy stówki w kasie z granio a i na dugach stówkę. Skoda go, bo móg by sie lepi ozenić, jak Tomek, bo dziołchy za nim polą.

— Ną dy i do mojej Magdy zacąn chodzić; ale ka co do cego!

Po wsi psy szczekają, gwizdania, śmiechy dziewek i parobków, a od Michoła z role już się walą na dobranoc. Muzyka rżnie Krakowiaki a parobcy śpiewają hurem coraz to wyraźniej słychać Krakowiaki.

„Wędruje wędruje gwiozdecka po niebie, I jo tys wędruje Magdusiu do Ciebie!" I i i i — hu!

„Druzbowie druzbowie komu druzbujecie, Temu Michałkowi ożenić go kcecie" I i i i — hu!

„Moja kochanecka wcas raniućko wstała, Moje podkówecki, po rosie poznała.

„Wojtowie sedziowie potracili prawa, A ja kochom dziołchy, jakze trzescy ława." I i i i hu!

„Zeby jo wiedziała i rozumek miała Tobem ci sie Jasiu uwodzić nie dała."

Już są na łące przestali grać i godzą istrumenta — tu-u-u-u ęwę-e-em, żeby sie im stroiła dobranoc co zagrają przed chałupą i zaśpiewają. Zgodzili. Jasiek drozba zaspiewoł Krakowiaka.

„Zaswiecił miesiącek na wysokiem niebie. Idziemy grający Magdusiu do ciebie" i walą sie całą zgrają z łąki przed chałupę.

Muzyka uciela granie przed drzwiami a parobcy spiewają „dobranoc — „Dobranoc, dobra nasa, pani moda. Dzisiok ci winsujemy. Jutro o ranku i o świtanku do slubu pojedziemy.

Muzyka przegrywa i znow dalej na przemiany grają i śpiewają. „Dobranoc, dobra nasa pani moda, witamy Twoje progi. A wyjdżże do nos, a przywitojże nos, bo nos już bolą nogi".

„Dobra noc dobra nasa pani moda Witamy twoje sciany A wyjdźze do nos a przywitajże nos, jak styrany." — A jedzie, jedzie twoj kochanecek po zielonej dąbrowie. Rozpuścił sobie pstrusie piórecka a konisiowi po gowie.

„Cemus nie przysed jak miesiącek wysed cy ci mama broniła Cys nie byi w domu cys nie miał konia, cym ci była nie miła." „Jo byłem w doma i miałem konia i mama mi nie broniła Ino mi moja pierso najmilejso dróżeckę mi zastąpiła."

Skończyli spiewać i grać dobranoc i zaspiewali, zagrali Krakowiaka.

„Otworz ze mi otworz moja Magdus wrota Zeby jo nie słaził z konisia do błota."

Magda odparła sień, wyniosła muzykantom szostkę do basow spłakana ale pewnie nie od żałości jeno od radości. — Wszystko hurmem pcha się do sieni i izdebki gdzie będą tańcować do rana.

Jantka chłopaki chwycili w sieni i cigną do izdebki, żeby grał, a gospodarz znów prosi na wiecerzą z kołacza i kawy.

Parobcy dogadują muzykantom — Juz bedziecie zryć, grać odrazu — lecz gospodarz Jantoni łagodzi — Dejcie spokój chopcy muzykanci musą przejeść, bo by posłabli do rana, na cas sie wychulocie, poć Jantas! podzcie panowie na wiecerzą. Muzykanci jedzą wiecerzę, a w izbie, w sieni, na polu za oknami pełne już zgraje. Do kuchni gdzie muzykanci jedzą wchodzi Józek Tyrałow wielki „desperok" i mówi zamiast pochwalony — Niech będzie kie przysed! a zwracając sie do kucharki pyta — nie witacie mie? —

Nie dawno tu takiego przywitali, jaz mu plecy spuchły — rzecze kucharka.

— Wiecie co się stało u nas w Kopytowce? rzecze Jozek.

— Coz takiego?

— „Wojt zdechnął i zakozoł zeby śniego mięsa nie jedli. Ujrzawszy muzykantów — Aaaa! jak sie mocie tuście zryc przyśli! jak sie mos Jantek, Tromba, Dyrga i ty pułkoksek nie kosek — przeboc, bo koń na styrek kobyłach, a sie utchnie — ną poććie grać, połozcie zarcie, boscie przyszli na zarobek, mam starą szóstkę to wom dom do basu, a zagrocie mi walca pięknego, okrągłego jak cegłę.

Muzykanci już po wiecerzy godzą basy w „izdebce“, drozba zapłacił „szóstkę“ i zaśpiewał

„Jak się chmura urwała, szczelił pieron w dębinę,
„A jo sobie pod jaborem ściskałem ci dziewczynę...

Jantek z Bugaja.

Co to jest ogień?

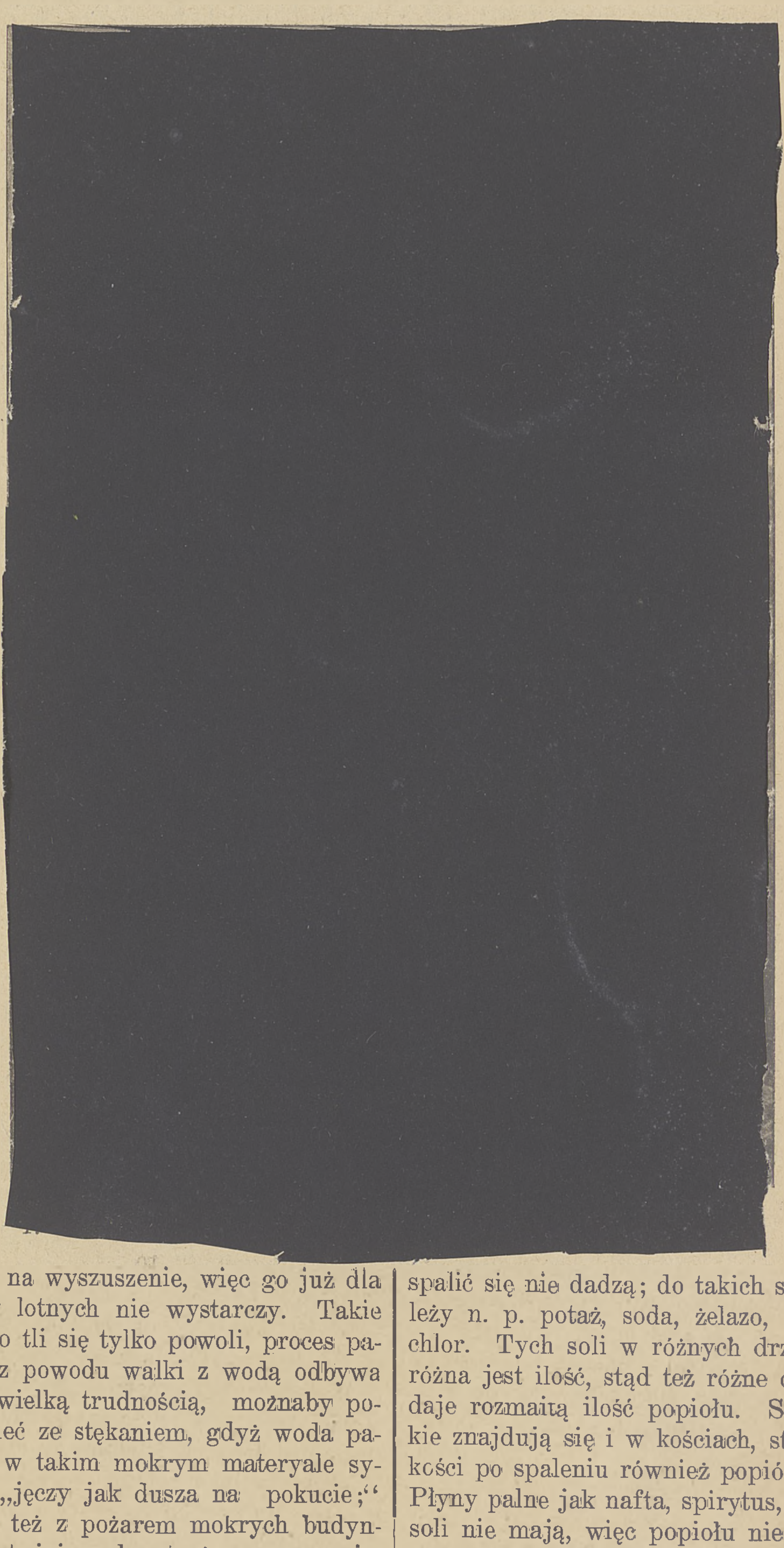
(Pogadanka naukowa).

(Dokończenie).

Ciepło, które się przy paleniu wywiązuje i utrzymuje materyał w tej ciepłocie, jakiej on do palenia potrzebuje, częściowo także ulatnia się i ogrzewa gazy palne, które się przy paleniu wytwarzają i częścią spalają, częścią ulatniają z dymem. Gazy te i ich ulatywanie wskazuje płomień u tych ciał, które się palą płomieniem, t. j. które mają w sobie gazy palne. Czy płomień jest więcej, czy mniej jasny i widoczny, zależy nie tyle od gazów, ile od ilości węgla, który drobniutkiemi cząsteczkami ulatnia się w powietrze i w gazach palnych do wysokiej ciepłoty rozżarza. W płomieniu łojowej świecy część niebieska przy knocie samym to są gazy wychodzące z knota, ale nie palące się, część dopiero dalsza jasna, która właściwie oświeca, to są cząsteczki węgla rozżarzone. Kierunek płomienia świecy wskazuje właśnie, że gazy w górę się unoszą i płomień z sobą porywają. Że płomień jest wytworem palnych gazów, nie zaś jakąś częścią palącego się materyału, dowodzi się lampą naftową, której knot zapaliwszy, skręci się w głąb, wtedy bowiem płomień wisi w powietrzu ponad maszynką lampy i wyraźnie przekonuje o tem, że to nie knot się pali, ale gazy, które z knota w górę się unoszą.

Od natury ciał należy, czy się palą płomieniem lub nie, czy wydają dym, czy zostawiają popiół i jaką siłę ciepła z siebie wydają. Ciała mające gazy palne, jak drzewo i jego wytwory, słoma, papier, dając płomień, metale żarżą się tylko a w wyższej ciepłocie topią się, bo one nie mają tych gazów palnych. Drzewo, mające w sobie dużo wody, nie daje płomienia, ale przyczyna tego w tem, że dużo ciepła obraca się na wyszuszenie, więc go już dla gazów lotnych nie wystarczy. Takie drzewo tli się tylko powoli, proces palenia z powodu walki z wodą odbywa się z wielką trudnością, możnaby powiedzieć ze stękaniem, gdyż woda parując w takim mokrym materyale syczy, „jęczy jak dusza na pokucie;“ walka też z pożarem mokrych budynków łatwiejsza, bo straż ma sprzymierzeńca w tej wodzie, która w drzewie siedzi.

Skoro drzewo się zwęgli, jest tylko częściowo spalone. Zupełnie spalone jest wtedy, gdy tylko popiół z niego zostaje. Gdy się spali nafta, spirytus, popiołu nie ma — dlaczego? Wyjaśnienie tego daje nauka o składzie roślin. Te rosnąc, wyciągają wszystko, co im potrzebne do życia i rozwoju z ziemi przez korzenie i z powietrza przez liście. Korzeniami wciągają soki rozpuszczone w wodzie, ale nie tylko takie z których się tworzą palne części drzewa, ale i takie sole mineralne, które w drzewie się osadzają, ale spalić się nie dadzą; do takich soli należy n. p. potaż, soda, żelazo, siarka, chlor. Tych soli w różnych drzewach różna jest ilość, stąd też różne drzewo daje rozmaitą ilość popiołu. Sole takie znajdują się i w kościach, stąd też kości po spaleniu również popiół dają. Płyny palne jak nafta, spirytus, takich soli nie mają, więc popiołu nie zostawiają. Prócz popiołu z materyału spalonego na miejscu nic nie zostaje na pozór, rzeczywiście jednak zostaje coś, ale to coś uciekło, bo to dym, który jako lekki w powietrze się unosi. To co widzimy z ognia wychodzące i dymem nazywamy jest mieszaniną gazów, pary wodnej i produktów stałych niedopalonych i przez pół spalonych,



t. zw. kopcia. Dym dają te materyały, które mają w sobie te stałe produkta, jako kopeć się przedstawiające. Koks więc i węgiel drzewny, nie dają dymu. Szczególnie wiele dymu dają materyały mokre, a to przez wielką w nich zawartą ilość pary wodnej. Wiele cząstek materyału, z dymem ulatujących, mogłoby się spalić i spalają [redacted]

będzie zawsze takie same, więc i ciepło to samo; różnica tylko będzie w sile ciepła, gdy spalenie w różnym czasie następuje. Im krótsze palenie tem silniejsze ciepło, bo natężenie jego przy prędkiem paleniu większe.

Ciekawe tu jest twierdzenie uczonych o stosunku zachodzącym między ciepłem słońca a ciepłem, przy spaleniu palnych materyałów powstałem.

Rośliny wszelakie mogą żyć i rozwijać się tylko pod wpływem światła i ciepła słonecznego. Energia ta słońca umożliwia ułożenie się pierwiastków i wzrost części roślin i wszelkich organicznych przedmiotów żyjących, które część tej siły słonecznej pochłaniają w celu własnego istnienia i rozwoju. Otóż, gdy taka roślina np. drzewo pali się i gdy następuje rozluźnienie dotychczasowego porządku pierwiastków w drzewie, wytwarza się napowrót to pochłonięte ciepło słoneczne, drzewo zwraca to, co w czasie swego rozwoju od słońca otrzymało. Więc cały olbrzymi zasób węgla w ziemi zgromadzony i na użytek ludzki dzisiaj kopany, jest owym magazynem [redacted]

jego wilgotności.

Jeżeli przedmiot podpala się ogniem innego przedmiotu palącego się, n. p. zapałką, wtedy ciepłotę jego podnosi się sztucznie ciepłem już gotowem, dla tego zapalenie następuje szybko. Zgaszenie przez zdmuchnięcie małego ognia możliwe jest dla tego, że się gazy palne szybko usuwa i płomieniowi je odbiera.

Bahr.

Nasza ofiarność.

Z Wieszczyczyna nadesłał nam ks. *Walenty Nowicki* spis osób, które w dalszym ciągu złożyły na jego ręce *ofiary na odbudowanie kościoła w Wieszczyczynie.* Spisu tego zamieszczonego w codziennych gazetach, dla braku miejsca ogłosić nie możemy.

Ks. Nowicki składa wspaniałomyślnym ofiarodawcom w imieniu swojem i parafian szczere podziękowanie.

Na weterana-kalekę z 1863-go roku złożyli pp: J Zawitaj z Bydgoszczy 3 mrk; Hieronim Tilgner z Miejskiej Górki 3 mrk; H. Palacz z Gdańska 5 mrk.

Razem złożono 11 mrk. Dalsze datki na ten cel przyjmujemy chętnie.

Nekrologia.

† Ś. p. *ks. biskup Trepnau*, sufragan dyecezyi chełmińskiej, dziekan katedralny chełmiński, umarł dnia 16-go b m. w Pelplinie. Urodzony 18-go czerwca 1835-go, wyświęcony na kapłana 27-go czerwca 1858-go, a konsekrowany dnia 10-go grudnia 1905-go roku. Dnia 19-go b. m. złożono zwłoki nieboszczyka na cmentarzu parafialnym w Nowejcerkowi, gdzie zmarły był dawniej proboszczem.

Cześć pamięci wiernego sługi bożego i zacnego Polaka—obywatela. R. i p.

† Ś. p. *Józef Sobecki.* Dnia 14 b. m. zmarł nagle na udar sercowy ś p. Józef Sobecki z Poznania, były kupiec i współwłaściciel fabryki, w 59 roku życia. Zmarły należał do ludzi czynnych na każdem polu pracy społeczno-narodowej. Był przez dłuższy czas członkiem Komitetu wyborczego, skarbnikiem Towarzystwa Pomocy Naukowej imienia Karola Marcinkowskiego, radnym miasta Poznania, członkiem rady nadzorczej Banku przemysłowców, członkiem Komitetu wrzesińskiego. Starał się na każdym kroku o podniesienie naszego przemysłu, to też licząc już lat 50, założył jeszcze do spółki z p. S. Wrzesińskim fabrykę tektur na dachy i przetworów smołowych, którą to spółkę przekazał przed $1^1/_2$ rokiem jedynemu synowi swemu. Niestety, choroba sercowa, na którą zmarły cierpiał od lat kilkunastu, zabrała tego niestrudzonego pracownika przedwcześnie, ku szkodzie społeczeństwa naszego. Niech odpoczywa w pokoju!

† Ś. p. *Jan Czosnowski,* nauczyciel emerytowany, dnia 15-go b. m. w Janówcu, przeżywszy lat 80.

† Ś. p. *Tytus z Pilicy Pilecki*, artysta malarz, obywatel ziemski, dnia 11-go b. m. w Warszawie, przeżywszy lat 66.

† Ś. p. *ks. Marcin Gutzmer*, proboszcz wałecki, dnia 12-go b. m. w 67-ym roku życia.

† Ś. p. *Feliks Wolski*, dnia 13-go b. m. w Poznaniu w 20-ym roku życia.

† Ś. p. *Jan Dźwikowski*, zawiadowca miejskiej rzeźni gostyńskiej, dnia 16-go b. m. w Gostyniu, przeżywszy lat 47.

† Ś. p. *Wincenty Przybylski*, nauczyciel, dnia 17-go b. m. z Poznania w 69-ym roku życia.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Czego wymaga się dziś od zarządu cechu?

Nowa ustawa procedorowa ma być dobrodziejstwem rządu dla rzemieślników i dowodem, iż rząd chce rzemiosłu szczerze dopomódz. Tymczasem rzemieślnicy z ustawy nie są zadowoleni, gdyż z biegiem czasu wykazały się różne niedogodności przyczem coraz bardziej wychodzi na jaw, iż ta opieka odbywa się nietylko kosztem samodzielności rzemieślnika, ale także ze stratą czasu, która nie równoważy tego, co ustawa daje dobrego. Jakie są wymagania od zarządów cechowych, od starszego cechu, sekretarza i skarbnika, ileby one czasu zajęły rzemieślnikowi o tem między innemi dowiadujemy się z artykułu umieszczonego w organie poznańskiej izby rzemieślniczej. Powiedziano tam co następuje:

Zarząd cechowy ma obowiązki dwojakie: ogólno społeczne i technicznobiurowe. Ogólno społeczne zadania ma zarząd do spełnienia takie: ma popierać w ogóle interesy przemysłowe, na członków cechu działać w tym kierunku, aby chętnie przebywali razem, jeden drugiego wspierali, dalej ma obudzić w nich poczucie godności stanowej. Oprócz tego ma zarząd baczyć na to, aby pomiędzy czeladnikami a mistrzami panował jak najlepszy stosunek, aby gospody czeladnika odpowiadały wszelkim wymaganiom, aby istniały wszędzie biura pośredniczące w otrzymywaniu pracy, aby uczniowie kształcili się prawidłowo, dalej ma rozstrzygać w razie zatargu pomiędzy czeladnikami a mistrzami i uczniami, ma wspierać podupadłych, w razie potrzeby troszczyć się o wdowy i dzieci po rzemieślnikach itd. Gdyby, powiada organ izby rzemieślniczej, zarządy cechowe to czyniły, wówczas zamilkną skargi rzemieślników na niedomagania ustawy procederowej.

To byłyby obowiązki ogólne społeczne, obok tych są jeszcze inne techniczno-biurowe. Według przepisów prawnych starszy cechowy obowiązany jest zwoływać zebrania rzemieślników ściśle stosując się do przepisów odnoszących się do owych zebrań. Powinien pamiętać, aby w sprawach dotyczących pośrednio czeladników zaprosić wydział czeladniczy. Na zebrania zarządu cechu zaprasza się starszego czeladnika, na zebrania cechu wszystkich członków wydziału. — Starszy cechu obowiązany dbać o to, aby głosowania odbywały się ściśle według litery prawa, aby każda uchwała zapisana była jak się należy do księgi protokularnej i aby ją wykonano. Starszy powinien pilnie doglądać, czy członkowie zarządu obowiązki swoje wypełniają, powinien przeczytać sobie z należytą uwagą wszystkie listy, jakie do cechu wystósowane zostały, jest zobowiązany zarządzić wybory i o wyniku ich donosić odnośnej władzy i to w przeciągu tygodnia. — O ile statut na to zezwala wolno mu wyszukiwać różne prace biurowe dla członków zarządu. Nauczy się z praw tych — pisze organ izby — korzystać jak najczęściej, aby członkowie zarządu lepiej mogli zrozumieć ustawę rzemieślniczą i wprawiali się w czynności biurowe. Starszy cechu poleca wpisywanie do księgi i wypisywanie uczniów, bada wszystkie kontrakty mistrzów z uczniami, czy są według prawa ułożone, jego obowiązkiem jest przesłać w odpowiednim czasie odpisy kontraktów tych w przepisanej liczbie formularzy odnośnej władzy, t. j. izbie rzemieślniczej. Dalej powinien ułożyć starannie porządek dzienny obrad dla wszystkich posiedzeń; jest obowiązkiem starszego cechu, aby ten porządek dzienny był jak najobfitszy i bardzo interesujący, bo tym sposobem rzemieślnicy przychodzić będą częściej na zebranie i dyskutować więcej. Obowiązkiem starszego cechu jest pouczać członków o ustawie procederowej i w tym celu powinien miewać jak najczęściej wykłady, na które uprzednio należy się przygotować należycie.

Takie byłyby obowiązki starszego cechu, po nim mają obowiązki niemniej liczne sekretarze i kasyerzy cechów, czego atoli za organem izby rzemieślniczej już nie powtarzamy, bo czytelnicy z powyższego nabiorą dokładnego pojęcia, czego dziś wymagają pewni panowie od zarządów cechowych.

Otóż według naszego zdania nic więcej nie przemawiałoby przeciw ustawie procederowej, jak właśnie te obowiązki ogólno-biurowe, bo przez wypełnianie obowiązków członkowie zarządu, a zwłaszcza starszy cechowy nie pomogliby rzemiosłu, lecz siebie zrujnowali, gdyż dla braku czasu musieliby rzemiosło w kąt rzucić a starszy cechu musiałby wynająć, ile możności dwóch sekretarzy prywatnych, aby w myśl ustawy procederowej, jak się patrzy, urzędować.

Już raz pisaliśmy, i zdanie to wielu rzemieślników podziela, że sprawie rzemieślniczej grozi niebezpieczeństwo od biuralizmu rozpościerającego się w naszych instytucyach rzemieślniczych coraz bardziej. — Biuralizm ten gotów pochłonąć całą energię rzemieślników, on im zabiera nie tylko cały czas wolny ale czas konieczny dla pracy na utrzymanie i tym sposobem więcej sprawie rzemieślniczej zaszkodzi, aniżeli cokolwiek bądź innego.

Rzemieślnicy nasi należą do zarządów cechowych, do Izby rzemieślniczej, powinni całemi siłami walczyć przeciw temu biuralizmowi, a pewnie, że znajdą poparcie u rozsądnych rzemieślników niemieckich, tem więcej, że prace biurowe i referaty różne mają władzom dopomódz w dozorowaniu tego, co się w cechach dzieje, co oczywiście wcale nie leży w interesie rzemiosła, lecz w interesie innym. Urzędy cechowe nie są przecież urzędami płatnemi jak urzędy inne. Starszy cechu, gdyby to wszystko miał czynić, co organ izby wyszczególnia, miałby zaiste więcej pracy, aniżeli niejeden urzędnik pobierający pensye wysokie.

„Przemysłowiec“.

Przesilenie w przemyśle papierośniczym

będzie prawdopodobnie pierwszem następstwem nowego podatku. Dotyczy to głównie robotników zatrudnionych we fabrykach papierosów. Obecnie wszystkie fabryki pracują z najwyższem wytężeniem, ponieważ według ostatniej uchwały parlamentu wolno handlarzom sprzedawć w dotychczasowych warunkach, tj. bez opodatkowania, całe zapasy, jakie zameldują w dniu 1-go lipca, w którym zaczyna obowiązywać nowy podatek. Kupcom wolno sprzedawać nieopodatkowane papierosy do 1-go września, fabrykantom tylko do 1 sierpnia.

To też kupcy starają się pozbyć zapasy, jakie jeszcze mają na składzie i zaopatrują się w nowe, aby w czasie od 1 lipca do 1 września zarobić jeszcze co się da. W tym samym stosunku fabrykanci usiłują dostarczyć odbiorcom z pierwszej ręki towaru w jak największej ilości. Następstwa będą takie, że po chwilowej nadprodukcyi, we fabrykach powstanie nagły zastój. Wielu robotników i robotnic na razie nie będzie miało zajęcia.

DZIAŁ KOBIECY.

O pięknej twarzy.

Jak ludzie salonowi po tańcach, po balach, gadają zawsze o pięknych twarzach, niby o pogodzie i słocie; tak i my czasem w potocznych rozmowach zachodziliśmy w osnowę tej powszedniej treści. Zwykle przecież, nasuwały się nierówne, sprzeczne upodobania, i piękność przyrody, okazywała się zawsze względną, niedoskonałą; bo nie tylko rozmaite wpływy fizyczne, wielorakie piętna narodowe, familijne podobieństwa i zbiegi przypadkowych okoliczności działają na fizyonomie ludzkie już od pierwocia (embryonu) do powicia, ale nadto temperament, charakter, wychowanie, późniejsze życia stósunki i przygody, różne znamiona na oblicze kładą. Jednakże, jeżeli nad tem chcecie się rozwodzić, usuwając wszelkie dowolne upodobania i czcze gadaniny, obaczmy, czy ze zamętu tak rozlicznych wpływów dadzą się wydobyć ogólne i konieczne znamiona prawdziwie pięknej fizyonomii.

Zdawałoby się, że każdy naród w czem innem powinien upatrywać piękność, że co n. p. Grekowi się podoba, to dla Kałmuka szpetnem być musi, i tak odwrotnie. Tymczasem jestto mylne mniemanie. Piękności fizyonomicznej szukać musimy w duchowym wyrazie, a naprzód co do budowy, we formach odpowiednich wewnętrznej, ogólnej treści człowieka. Takie formy ujrzycie połączone w profilu greckim, antykowym, który jedynie z idealną pięknością się zgadza, usuwając, ile możności, wszelkie praktyczne organy, a teoretyczne wydatniejszymi czyniąc. Profil ten zależy na połączeniu czoła z nosem liniją prostą, lub lekko zagiętą, i od prostego jej stósunku do linii wyciągnionej od końca nosa ku uchu, tak, że oboje, mniej więcej, kąt prosty zestawią. Byli fizyolodzy, którzy słusznie w tej linii walną uważali różnicę ludzkiej twarzy od zwierzęcego profilu; u zwierząt bowiem ostrokątność jest charakterystycznym zarysem głowy, a najznamienitszą jej częścią pysk; inne organy są podrzędniejsze, nos do wietrzenia, wzrok do zoczenia żywności. Wyraźna ta wydatność organów, służących ku zaspokojeniu potrzeb materyalnych, pozbawiona wszelkiej idealności, gdy się czasami u ludzi zdarza, upatrujemy w nich jakieś dziwne podobieństwa zwierzęce. Przeciwnie bowiem w normalnej twarzy człowieka, wierzchnia część, czyli czoło i oczy, są najznamienitszą częścią; bo w czole wyraz myślenia, a pod niem w oku skoncentrowany duch się wyjawia. Przeto też przy wydatności czoła, a usunięciu ust i kości podocznych, nabiera twarz duchowego wyrazu. Jednakże antyki skulpturyczne okazują w tem rozliczne modyfikacye; u kobiecych, powabnych, młodzieńczych fizyonomii niższe bywają czoła, niż u poważnych i myślących postaci. Herkules n. p. niskie ma czoło, gdyż jest wyrazem fizycznej, na zewnątrz skierowanej siły, a nie wewnętrznej duchownej. W oczach zaś najwidniejsza dusza całem swem wnętrzem przełyska, i gdy spotkamy człowieka, naprzód mu w oczy patrzymy, aby całego od razu przejrzeć i poznać; prędzej, niż ściśnieniem ręki, porozumiewamy się przez oczy, i za ich pomocą połączeni jesteśmy z otaczającym nas światem.

Oko więc powinno być duże; lecz nie wszystkie wielkie oczy są piękne, zależą bowiem od rzutu powiek, od oprawy i swego głębokiego położenia; gdyż wypukłe zdają się okazywać, że człowiek na zewnątrz wychylony, zbytecznie zmysłowemi przedmiotami zajęty, mało się w sobie zagrząza. W dziełach skulpturycznych, oko zwykle głębiej bywa położone, niż zwyczajnie w naturze, gdyż im więcej czoło wystaje, tem wydatniejszy jest wyraz myślenia, a oko bardziej ukryte, usunięte niby od zewnętrznego świata, więcej duchowego charakteru przybiera. Toż co do barwy; ciemne oczy, głębsze sprawiają wrażenie, niż jasne. Nad oczami brwi ellyptycznie ciągnąć się powinny, bo wyższe ich zaokrąglenie wyraża jakiś niepokój, niepewność. W przejściu od górnej do dolnej części twarzy, występuje nos, między zupełnie teoretycznem, duchowem czołem, a praktycznemi poczęści ustami, i będąc organem powonienia, środkuje obu tym stosunkom. Służy on wprawdzie potrzebie zwierzęcej, stojąc w najbliższym związku ze smakiem; jednakże przez swe połączenie z czołem, nabiera duchowego wyrazu, i zdaje się więcej do czoła, niż do ust należeć; zawoniać raczej kwiaty, niż pokarmy, lub napoje; być dobrym nosem dla ducha, nie dla żołądka. Nos zresztą wpływa bardzo na wyraz całej twarzy; ztąd tyle przysłów o wścibianiu, zadzieraniu i t. d. nosów. Mówią, że ostry, chrząstkowaty, wróży o bystrym rozumie, gdy przeciwnie płaski, szeroki, mięsisty, ma głupstwo, zmysłowość i prostactwo oznaczać. — Małe nosy, od czasów Mojżesza aż do dzisiejszych malarzy, zawsze za szpetne uważają. Po oczach jednak, najpiękniejszą częścią są usta, gdy nie tylko do jedzenia i picia, lecz także wedle duchowego znaczenia są zbudowane. W rozlicznych, a najdelikatszych odcieniach, wyjawiają one wzgardę, cierpienie, radość i t. d., a ich gra tak jest żywą, zmienną, dotkliwą, jak oczu, i równie w swej spokojności, jak tamte, mogą być miłe, pełne powagi, uroku i pieszczoty. Jeśli mają piękną formę przybrać, a zatrzeć wszelką zwierzęcą łakomość, powinny być małe; jednakże z niezbyt cienkiemi wargami, bo takowe znaczą skąpe uczucie. Dolna warga, pełniejsza od wierzchniej, jak n. p. miał Szyller, nadaje ustom wyraz pewnego nasycenia, spokojności i wezbranego uczucia; gdy na opak u zwierząt, wierzchnia warga nad spodnią wystająca, oznacza niby bezprzestanną żądzę pochwycania zdobyczy; taka warga szpeciła bardzo, znakomitą zresztą, twarz Napoleona; usta bowiem, jako narzędzie udzielania wnętrza swego drugim, powinny więcej do wypuszczania głosu, niż do nabierania pokarmu służyć. Broda nakoniec, uzupełnia duchowy wyraz ust, a nawet pewien charakter wielkości przybiera, gdy niezbyt mała, nie niknie usunięta pod ustami, jak zwierzęca, ale przeciwnie, gdy niżej, niż zwyczajnie, zaokrągla się, i wypukłością swoją przed dolną wargą wystaje. Taka duża i okrągła broda, znamionuje prawdziwą piękność plastyczną. — Medycejska Wenus, lubo ma wprawdzie nieco małą brodę, odkryto przecież, że jest odłupana. Dołek w brodzie, niekiedy za wdzięk poczytywany, jako przypadkowy, nie należy do piękności. Włosy wreszcie, jeśli i o nich wspomnieć tu mamy, noszą charakter więcej wegetabiliczny, niż animalny, porastają czaszkę twardą, bezpiecznie zasklepiającą mieszkającego pod nią ducha, przeto niezdolną do wyrażania go zewnętrznie; krótko więc strzyżone, nie urozmaicając tej bezwyrazowej powierzchni, wyglądają tylko jak poszycie dachu; przeciwnie zaś, dłuższe, swem utrefieniem, niby plączącym się ruchem i rzutem, wtórują giętkim rysom twarzy; a barwa ich, jakkolwiek mieniąca, zawsze przecież jednostajna, wymaga w lokach głębszych odcieni, i wyraźniejszych różnic połysku, odpowiednich różnotonnej a harmonijnej cielistości oblicza.

(Dokończenie nastąpi).

ROZMAITOŚCI.

Egzekucya w cytadeli warszawskiej. Najwyższym stopniem kary, wymierzanym przez sądy wojenne, jest kara śmierci przez powieszenie.

Dawniejszy urząd kata warszawskiego, oparty na prawach dziedziczności, obecnie sprawują kaci-amatorzy, którzy zgłaszają się do cytadeli w maskach i dowiadują się, czy nie ma dla nich „roboty'', poczem w oznaczonym terminie, znów w maskach, zjawiają się do spełnienia swego ohydnego lubo intratnego procederu. Za powieszenie jednego skazanego kaci-amatorzy pobierają 50 rubli. Ostatniemi czasy haniebne zarobki katów-amatorów musiały być dość obfite, gdyż na cmentarzu w cytadeli, przeznaczonym do grzebania powieszonych, brak już miejsca...

Przed wykonaniem smutnego i zarazem wstrętnego aktu, skazanego pytają się, czy chce pojednać się z Bogiem. W razie odpowiedzi twierdzącej przybywa do celi kapelan wojskowy.

Następnie wczesnym rankiem skazanego ze związanemi w tył rękami, ubranego w płócienny habit z kapturem, nasuniętym na oczy, wyprowadzają na placyk za X-ym pawilonem, gdzie stoi szubienica — dwa słupy pionowe, połączone u góry belką poprzeczną, pomalowane na czarno, pod którą są schódki kilkostopniowe, również pomalowane na czarno. Do belki jest przyczepiona pętlica na haku. Kilku żołnierzy wprowadza skazanego na schódki, gdzie kat-amator zadzierzga mu pętlicę na szyję, szybko zeskakuje ze schódków i przewraca je. Skazany zawisa na pętlicy, czyniąc w konaniu konwulsyjne odruchy...

Zdaniem lekarzy, męka powieszonego trwa 10 minut, jednakowoż w cytadeli skazani wiszą przez pół godziny, poczem jeden z żołnierzy odcina sznur. Ciało spada na ziemię i odniesione zostaje na znajdujący się obok cmentarzyk, na którym żołnierze składają zwłoki do przygotowanego dołu bez trumny, w odróżnieniu od chowanych w trumnach delikwentów rozstrzeliwanych.

Przy traceniu są obecni oprócz kata i żołnierzy — dyżurny lekarz cytadeli oraz prokurator sądu okręgowego. Do tego smutnego zadania podprokuratorowie ciągną między sobą losy.

* * *

Barbarzyństwo żołnierzy rosyjskich. W Czerniakowie pod Warszawą rozegrało się smutne zajście. Dwaj synowie miejscowych obywateli: Wacław i Czesław Kopciowie (synowie znanego malarza dekoratora) lat 18 i 20 liczący, Adam Świderski lat 21, elektrotechnik i Antoni Sokolnicki, uczeń 6. klasy szkoły gen. Chrzanowskiego, udali się na przechadzkę. Jeden z młodzieńców, oglądając rewolwer, który posiadał dla bezpieczeństwa, przypadkowo dał strzał. W tejże chwili nadbiegł patrol, złożony z 12 kozaków i 2 strażników. Jeden ze strażników, Daczenko, zapytał idących, kto strzelał, a otrzymawszy odpowiedź, iż strzał był przypadkowy, kazał młodzieńcom podnieść ręce do góry.

Pomimo, że ci usłuchali rozkazu i ręce podnieśli, a Kopciowie, jako znajomi strażnika, dali mu się poznać, ten nie zwrócił na to uwagi i zakomenderował ognia. Kozacy dali salwę i dwaj młodzieńcy: Świderski i Sokolnicki runęli na ziemię. Świderski został zabity na miejscu, a Sokolnicki po udzieleniu mu pomocy przez miejscowego lekarza, odwieziony został nad ranem do szpitala św. Rocha, w którym wkrótce życie zakończył.

Zrozpaczeni rodzice młodzieńców wnieśli skargę do władz, oraz wysłali depeszę z opisem zajścia do posłów polskich i prezesa Izby państwowej.

* * *

Sprawa rozwodowa. W Paryżu toczyła się sprawa rozwodowa ks. Klaudyi Radziwiłłowej, z domu hr. Gramont, przeciw mężowi jej, ks. Leonowi Radziwiłłowi. Powodem skargi było brutalne obchodzenie się księcia z żoną i opuszczenie jej następnie po 6 miesięcznem pożyciu. Sąd przychylił się do skargi, rozwód został udzielony i ks. R. skazany na płacenie żonie alimentów w ilości 50,000 fr. rocznie. Ks. Leon Radziwiłł jest synem ks. Konstantego, ożenionego z panną Blanc, córką dzierżawcy domu gry w Monaco. Księżna jest wnuczką Rotschilda.

* * *

Balonem do bieguna północnego. Jak donoszą dzienniki paryskie, budowa olbrzymiego balonu „Ameryka'' postępuje szybko w warsztatach w St. Quen. Balonem tym udać się ma w podróż do bieguna północnego znany aeronauta amerykański, Wellman. Część balonowa tego okrętu napowietrznego będzie mieć 164 stopy długości, 525 stopy średnicy, 21.000 stóp kwadratowych wodoru. Część maszynowa, zbudowana z drzewa i stali, ma 52 i pół stopy długości a 6 szerokości. Dwa motory o sile 25 i 55 koni poruszają dwie śruby, które zapewniają balonowi 18 mil angielskich na godzinę. Balon nie będzie się przeciętnie wznosić ponad 400—500 stóp, a począwszy od Spitzbergu, drogę, wynoszącą tam i napowrót 1 200 mil angielskich (mila angielska $1^1/_2$ kilometra), przebiegnie mniej więcej w 100 godzinach. W wyprawie, obok Wellmana, wezmą udział: major Hersey, jako przedstawiciel rządu Stanów Zjednoczonych i Towarzystwa geograficznego w Waszyngtonie; Gaston Hervleu, aeronauta; M. J. Smith, rzeczoznawca telegrafu bez drutu, tudzież Paweł Cylardeau, obsługujący motor. Major Hersey uda się dnia 15-go b. m. okrętem „Frithjow'' do Spitzbergen, ażeby tam urządzić stacyę. Balon ma opuścić wkrótce Paryż, a mianowicie w lipcu odbędą się próbne wzloty, a jeżeli wynik ich będzie pomyślny, wyprawa wyruszy w sierpniu. — Jeżeliby próby dały wynik ujemny, w takim razie Wellman ma zamiar w roku przyszłym zabrać się ponownie do rzeczy.

* * *

Mięso amerykańskie. Jak wszystkie ważniejsze gałęzie przemysłu i handlu, tak i przemysł mięsny zagarnął w swoje ręce kartel, czyli trust, mający siedzibę w Chicago, który jest ogniskiem handlu bydłem i nierogacizną. Powstały tam olbrzymie rzeźnie, masarnie i fabryki konserw mięsnych, należące do trustu, a rozsyłające swoje wyroby na wszystkie strony świata. Mając monopol w swych rękach, trust mięsny lekceważył wszelkie przepisy ustaw hygieniczno-policyjnych, a nawet wymogi prymitywnego porządku. Uchodziło mu to przez długi czas, aż wreszcie wyszły na jaw wszystkie nadużycia, które prasa omawia szeroko. Do sprawy tej wmięszał się nawet prezydent Roosevelt, który oświadczył, że musi stanowczo położyć kres wstrętnym nadużyciom trustu. Komisye rządowe wykryły, że w rzeźniach, masarniach i fabrykach konserw w Chicago panuje takie niechlujstwo, że nie zniesionoby go na ulicy azyatyckiej mieściny. Komisya w jednym dniu zabrała i kazała zniszczyć przeszo 11 milionów funtów mięsa bądź z chorych zwierząt, bądź zepsutego. Tajna komisya, wysłana przez prezydenta Roosevelta, stwierdziła między innemi naocznie, jak weterynarz oglądał 31 chorych bydląt i odrzucił tylko 7 sztuk.

Humorystyka.

Myśl i forma.

Pewnemu, który czuł w sercu zapał,
Przyszła myśl świetna do głowy,
Więc bez namysłu za pióro złapał
I spłodził wierszyk łokciowy.

Z tą swoją pracą idzie przed sędzie
I rzecze do nich: Panowie!
„Chciejcie powiedzieć, co ze mnie będzie
I co też o mnie świat powie?“

Sędziowie zbrojni w miny surowe
Obsiedli wielki stół w sali,
I przeczytawszy wierszy połowę,
Następny wyrok wydali:

„Myśl, trzeba przyznać, jest czystej wody
I pełna wielkiej zalety,
Lecz w twojej pracy, człowieku młody,
Brakuje formy, niestety!“

Ha! — rzekł do siebie westchnąwszy skrycie,
Pójdę za radą najściślej
I chętnie całe poświęcę życie,
By znaleźć formę do myśli.

I dążąc ciągle do swego celu,
Przechodzi różne zakręty,
Aż wreszcie formę po latach wielu
Znalazł ów człowiek zawzięty.

Z tą piękną formą biegnie przed sędzie
I rzecze do nich: „Ach! proszę!
Powiedźcie teraz, co ze mnie będzie,
Gdy piękną formę przynoszę?“

Sędziowie zbrojni w miny surowe,
Obsiedli wielki stół w sali
I przeczytawszy wierszy połowę,
Następny wyrok wydali:

„Forma wspaniała! — nikt nie zaprzeczy,
Wziąwszy twe wiersze na szale,
Lecz cała praca jest nie do rzeczy,
Bo myśli nie ma w niej wcale“.

Z rozmowy.

Pan A. Ale, w gruncie rzeczy, ona sama ofiarowała ci swoją rękę.

Pan B. Tak, ale... pustą.

Pomiędzy myśliwymi.

— Wie pan, są psy, które mądrością swoją i sprytem przechodzą nieraz swoich panów...

— Och, wierzę zupełnie, ja bo sam mam takiego...

„Podniosłe“ wrażenie.

A. Jakto? Więc sztuka Iksa nie podoba ci się wcale? Przecież sam pisałeś o niej, że wywarła „wrażenie podniosłe“.

B. Bo też tak było istotnie. Publiczność jeszcze przed końcem sztuki podniosła się i.. wyszła.

Z teki myśliciela.

Tyle teraz na świecie mamy już złodziei,
Tak liczba ich codziennie wzrasta niesłychanie,
Że, gdy zaczną zamykać winnych po kolei,
To wkrótce dla następnych miejsca nie zostanie.

I wówczas sprawiedliwość stanie się bezradną,
Niechże więc, póki pora, mej rady słuchają:
Niech sądy uwalniają wszystkich którzy kradną,
A zamkną takich, którzy się okradać dają.

Tym sposobem stanowczo zaradzi się złemu,
Świat przerażać przestaną rzezimieszków winy,
Bo rzecz udowodniona i znana każdemu: —
„Że zniknie skutek, gdy się usunie przyczyny“.

Praktyczna mama.

— Mamo, czem się różni klasyk od realisty?

— To zależy od pensyi, jaką który pobiera...

Dzisiejsze konkury.

— Czy to jest ów pan, starający się o rękę córeczki pani dobrodziejki?

— Tak, właśnie ten pan, od lat kilku jest starającym się, a córka moja tymczasem — starzejącą się.

Jeden.

Patrzaj luba! wznieś oczęta!
Tam wśród gwiazd na nieboskłonie
Tak prześlicznie, tajemniczo,
Pośród chmurek miesiąc płonie!!

E! mój luby! ty mię na to
Nie bierz tak czułemi słowy,
Jeden tylko lubię miesiąc —
Jaki? wiedzieć chcesz? — miodowy!...

Zdzich.

Żywy towar.

— Co szanowni państwo porabiają w Poznaniu?

— Przyjechaliśmy z trzema dorosłemi córkami. Powiem w zaufaniu, pragnęlibyśmy dla nich znaleść mężów!

Doświadczona.

— „Luba najdroższa! Za tydzień wesele;
Czemużeś jeszcze dla mnie taka sroga?
Daj mi całusa zanim w kościele
Staniemy razem przed ołtarzem Boga“
— O nie, mój drogi, tego to nie można,
Jam pod tym względem słowo sobie dała,
Że z narzeczonym będę zbyt ostrożna,
Bom się w ten sposób raz już załapała.

W redakcyi.

— Co pan przyniósł?

— Wier... wiersze...

— Czemuś pan taki wystraszony?

— Kosz zobaczyłem! Odsuń go pan z łaski swojej, panie redaktorze.

Katastrofa kolejowa.

Proszę pana! niech pan powie!
Rzekła tonąc w swym fotelu,
Czy zdarzyło się nieszczęście
Kiedyś panu już w tunelu?

Owszem! — rzekłem — proszę pani!
Katastrofę nawet miałem!
Raz pamiętam zamiast córki
Matkę jej pocałowałem!!